



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Labirynt świata i raj serca / napisał Jan Amos Komensky; na język polski opracował Jan Pindór.

Liczba stron oryginału

152

Liczba plików skanów

152

Liczba plików publikacji

153

Sygnatura/numer zespołu

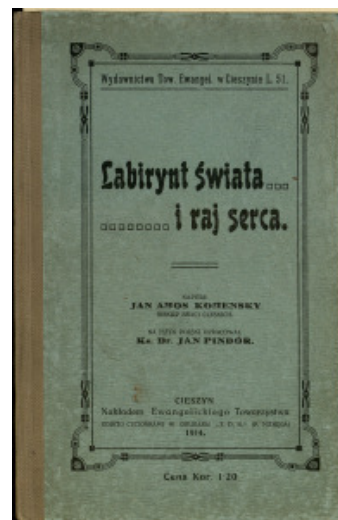
KD I 00586

Data wydania oryginału

1914

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Wydawnictwo Tow. Ewangel. w Cieszynie L. 51.

Labyrinth świata... ... i raj serca.

NAPISAŁ

JAN AMOS KOMENSKY

BISKUP BRACI CZESKICH.

NA JĘZYK POLSKI OPRACOWAŁ

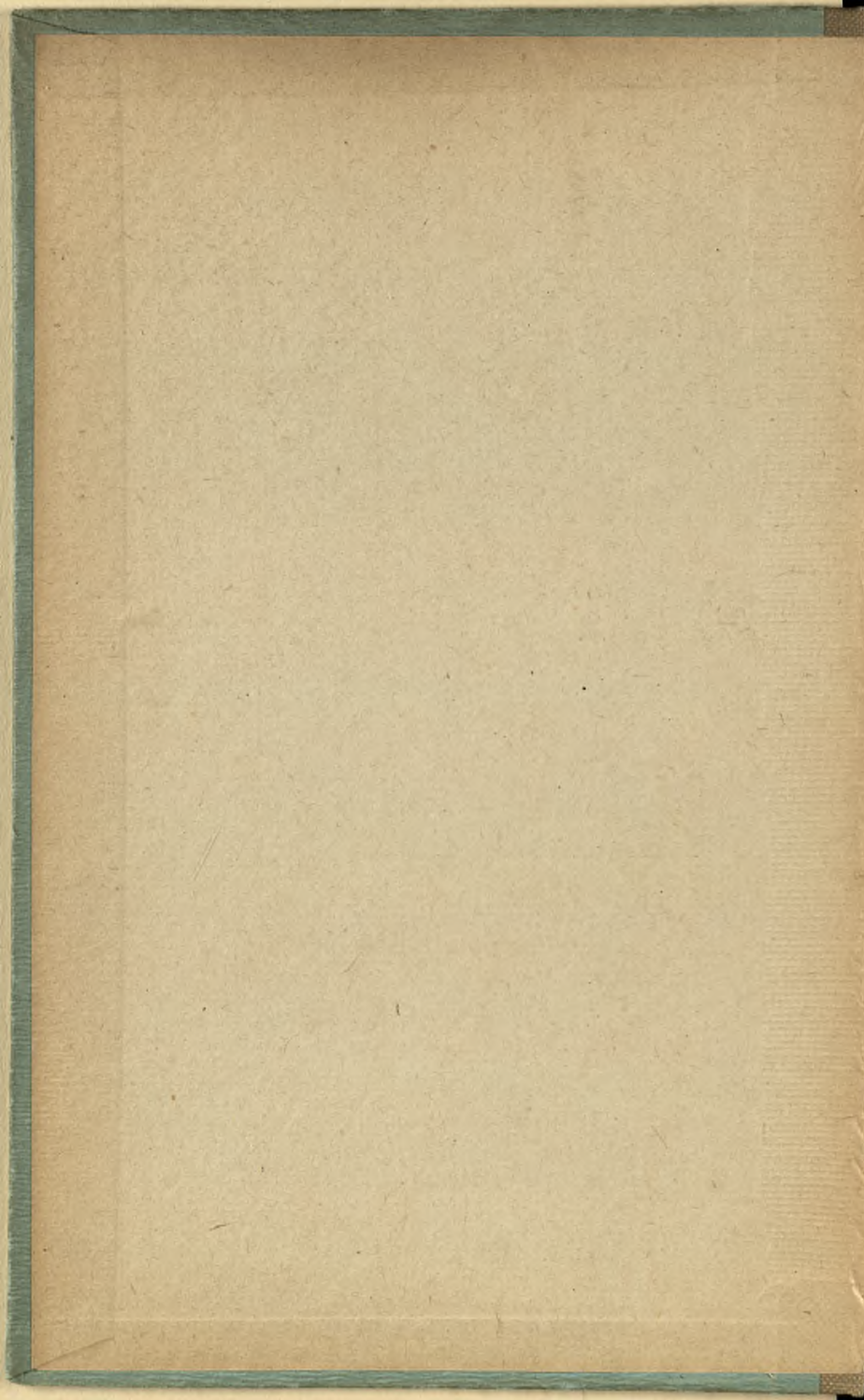
Ks. Dr. JAN PINDÓR.

CIESZYN

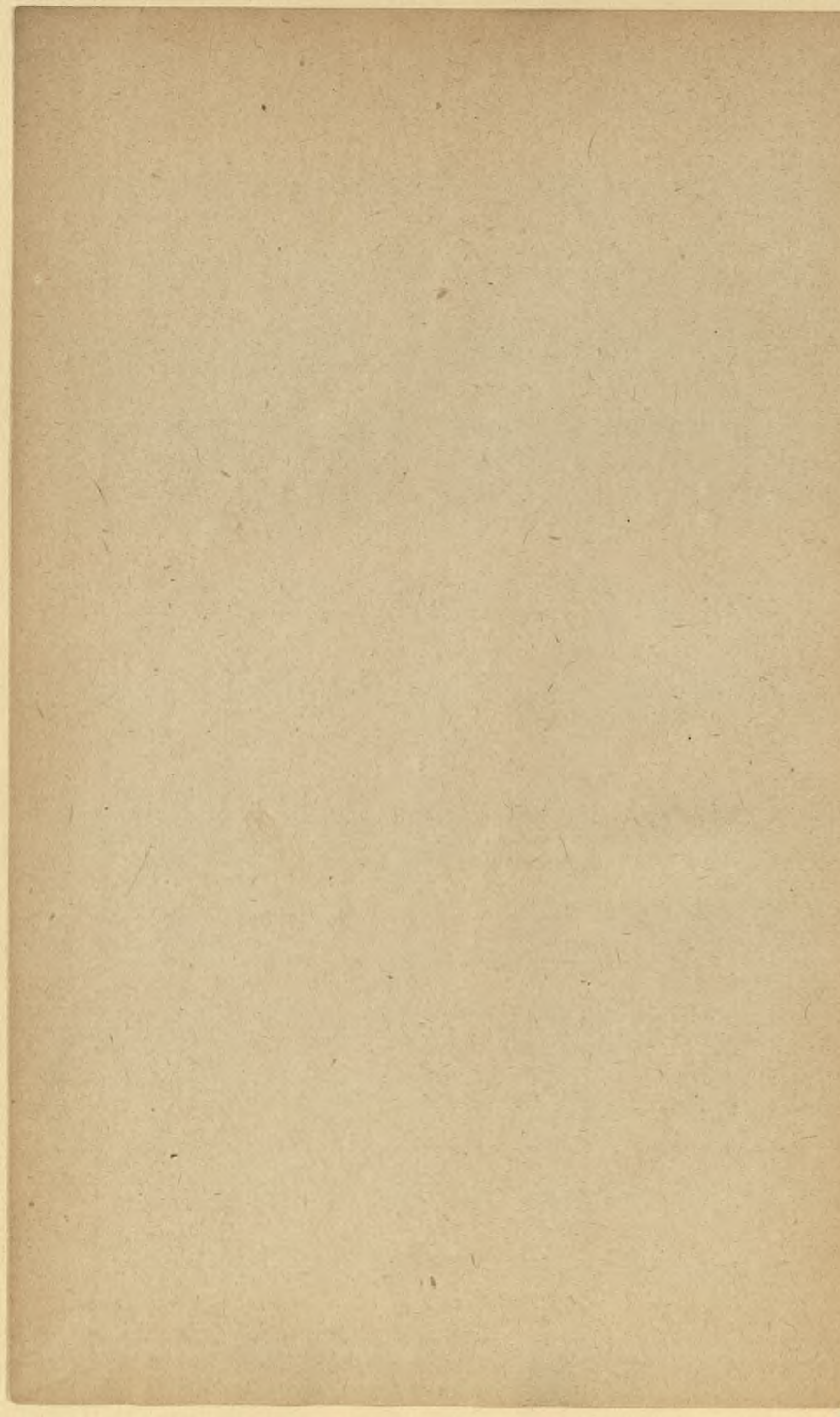
Nakładem Ewangelickiego Towarzystwa

ODBITO CZCIONKAMI W Drukarni „T. D. N.” (P. MITREGA)
1914.

Cena Kor. 1-20



Ks. Menortek



Wydawnictwo Tow. Ewangel. w Cieszynie L. 51.

Labirynt świata i raj serca.

Napisał

Jan Amos Komensky,

biskup Braci Czeskich.

Na język polski opracował

Ks. Dr. Jan Pindór.

Cieszyn.

Nakładem Ewangelickiego Towarzystwa.

Z drukarni Towarzystwa Domu Narodowego (P. Mitręga).

1914.

KD 586



UD 586

$$885.0:284(437)]^{16}$$

3174 | 95
2,50

PRZEDMOWA.

Dnia 6. lipca 1415 spalono magistra Jana Husa na stosie w Konstancyi. Wpływ jego atoli nie wygasł wśród kościoła ewangelickiego i wśród narodu czeskiego aż po dziś dzień; przeciwnie się wzmacnia, a w historyi czeskiego narodu niema drugiego człowieka, któryby popularnością i znaczeniem dorównał Husowi, nie tylko wśród ewangelików, ale wśród całej czeskiej ludności. Nie dziw więc, że naród czeski stroi się obchodzić 500-letnią pamiątkę śmierci męczeńskiej Husa r. 1915 z nadzwyczajną uroczystością.

Spaleniem Jana Husa i ogłoszeniem go kacerzem zostali Czesi do najwyższego stopnia oburzeni. Wśród tego wrzenia umarł król Wacław, a stany czeskie odmówiły hołdu wiarołomnemu bratu jego, cesarzowi Zygmunutowi, z czego powstała siedmioletnia wojna domowa. Husyci pod dowództwem jednokiego rycerza Jana Žyžki z Trocnowa zbudowali na niedostępnej skale warownię Tabor, trzy wojska rycerskie przeciw nim wyprawione z kolei pokonali i rozbili i tak prawie całego kraju czeskiego panami zostali. Nie mogąc pokonać ich siłą, próbowano środków łagodności i podstępów; zrobiono im pewne ustępstwa i zgodzono się na pewne żądania, od których Husyci odstąpić nie chcieli. Pierwszem było pożywanie Wieczerzy Pańskiej pod obiema postaciami; drugim opowiadanie Ewangelii w języku narodowym; trzeciem podanie

duchowieństwa pod ścisłą karność kościelną; czwartem wyrzeczenie się dóbr kościelnych. Większa część Husytów zniechęcona zaburzeniami pragnęła pokoju i zgadzała się na poddanie się cesarzowi i papieżowi pod wymienionemi zastrzeżeniami. Mniejszość atoli nie chciała pod żadnym warunkiem wejść w układy z kościołem. Pierwszych nazywano Kalikstynami, drugich Taborytami. Gdy sobór zgromadzony w Bazylei, zatwierdził dnia 30. listopada 1433 żądania Kalikstynów, wrócili oni na łono kościoła i sami odtąd przeciw Taborytom walezyli. Udręczeni w kraju szukali Taboryci schronienia w północnych okolicach Moraw, szczególnie na majątkach Jerzego Podjebrada, wówczas namiestnika, a później króla czeskiego. Wskutek zabiegów ks. Michała Bradacza utworzyli Taboryci mały zbór pod nazwą „Braci czeskich“, albo Morawczyków, który w bogobojności, trzymając się czystej Ewangelii, wszystkie prześladowania przetrwał. Centralnem miejscem ich życia i pracy było miasteczko Fulnek na Morawie. Organizacya zboru była doskonała, karność wzorowa i mogli być światłem okolicy całej. Tysiąc osób Braci czeskich opuściło r. 1548 kraj i wynieśli się do Polski, gdzie w miasteczku Lisa osiedli; inna część wyszła do Węgier i w Sarospatał się osiedliła, aż roku 1722 wszyscy członkowie Braci czeskich wskutek prześladowań religijnych Austryę opuścili i w majątkach hrabiego Zinzendorfa w Saksonii miasteczko Herrnhut założyli, od czego ich dziś „Herrnhutami“ nazywają.

Najwięcej znaną wśród nich osobą był biskup Braci czeskich, Jan Amos Komensky. Urodził się d. 28. marca 1592 w wiosce Komna pod Bernem na

Morawie, a więc o rok później niż nasz Jerzy Trzaskowski w Cieszynie. Rodzice jego należeli do Braci czeskich i od dzieciństwa syna swego w zasadach wiary wychowali. Gdy rodzice wcześniej umarli, zajęli się nauką uzdolnionego młodzieńca opiekunowie jego i wyprawili go do szkół w Herbronie i Heidelbergu. Po ukończeniu tychże odbywał podróże po Holandyi i Anglii, aż wróciwszy do kraju został rektorem szkoły w Przerowie r. 1614, a następnie w Fulneku. Tymczasem wybuchła wojna trzydziestoletnia, a z nią przysły czasy okropne dla ewangelików w Austrii. Roku 1620 wkroczyło do Fulneku wojsko hiszpańskie i zabrało do ostatniego kawałka, co Komeńskiemu należało. On sam uszedł prześladowania i znalazł schronienie na majątku pewnego szlachcica w Czeskich Górach, zajmując się nauką dzieci jego. W tem zaciszu napisał kilka ksiąg w języku czeskim. Gdy i tu więcej nie był bezpiecznym, uszedł do Polski do miasta Lisa, gdzie go roku 1632 wybrano biskupem Braci czeskich. Stąd wezwano go do Anglii, następnie do Szwecyi celem zorganizowania szkół kraju, a później na wezwanie księcia Rakoczego poszedł do Węgier, gdzie w mieście Sarospatak zorganizował tamtejsze ewangelickie gimnazjum. Powróciwszy do Lisy bawił tam niejaki czas, aż wskutek pożaru znowu wszystkie swe księgi i rękopisy utracił. Wojska cesarskie wkroczyły do miasta i do szczytu je spaliły r. 1654. Komeński bawił nieco na Śląsku, przeniósł się potem do Brandenburga, następnie do Hamburga, po jakimś czasie do Amsterdamu, gdzie znaczną część dzieł swoich wydał drukiem, i umarł w mieście Naarden w Holandyi dnia 15. października 1651.

Urodzony w Austryi spędził część życia swego za granicą, bo będąc ewangelikiem nie śmiał w ojczyźnie swojej przebywać.

Pisma Komeńskiego są treści trojakięj, religijnej, pedagogicznej i filozoficznej, choć i filozofia i pedagogika jego wznosi się na tle religijnem. Komeński słynął czasu swego i słynie po dziś dzień jako mistrz szkoły i reformator pedagogiki. Jego „Orbis pictus“ był pierwszą illustrowaną księgą dla młodzieży. Jako pedagogowi wzniesiono mu nawet pomnik w mieście Fulnek, które dziś jest na wskroś katolickiem.

Między dziełami jego treści religijnej, napisanemi w języku czeskim, zasłynął najwięcej „Labyrint Světa“, choć z całej osnowy można się przekonać, że tu przemawia chrześcijański „pedagog“ do ludu swego. Dzieło stało się tak popularnem, że eksulanci czescy, dla wiary ewangelickiej z kraju wypędzeni, śpiewali o niem:

Ne vzali jsme s sebou
nic, po všem veta,
jen bibli Kralickou,
Labyrint světa.

Towarzystwo Ewangelickie w Cieszynie postanowiło dać tę perłę dawniejszej literatury religijnej do rąk ludu naszego, tak dla jej zajmującej i przekonywującej treści, jak też dla tego, aby współwyznawcom wiary ewangelickiej w łonie czeskiego narodu okazać swą cześć i poszanowanie.

W Cieszynie, dnia 1. marca 1914.

Ks. Dr. Jan Pindór.

ROZDZIAŁ I.

O przyczynach puszczenia się w świat.

Doszedłszy do wieku, w którym się rozum ludzki rozwija i dobre od złego odróżniać zaczyna, spostrzegłem, że różne są w świecie stany, rzędy, powołania, prace i przedsiębiorstwa, któremi się ludzie zajmują. Uczulem potrzebę, dobrze się temu wszystkiemu przypatrzeć, a potem rozważyć, do której partii miałbym się przyłączyć i w jakich sprawach życie swe spędzić.

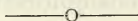
Dużo i często nad tem rozmyślając i rozum swego pilnie się radząc, przyszedłem do postanowienia, taki sposób życia obrać, w którymby dla mnie jak najmniej kłopotu, starania, a jak najwięcej wygody, spokoju i dobrej myśli było.

Lecz znowu nie łatwą się wydawało przyjść do poznania, jakie powołanie i które najlepiej celowi temu odpowiadać będzie. Nie wiedziałem także, czyjej w tej sprawie zasięgnąć rady. Lada kogo nie chciałem się radzić, bo sobie myślałem, że każdy swą własną sprawę chwalić będzie. Sam zaś od siebie nie miałem odwagi nieco postanowić, bo się lękałem, bym jakiego złego wyboru nie zrobił.

Zacząłem tedy, nie taję tego, jednej i drugiej sprawy próbować, lecz za niedługo rzeczy zaniechałem, bo wszędzie jakąś trudność i marność spo-

strzegłem. Przytem się lękałem, abym przez nie-
stałość i niepewność swoją na hańbę nie wyszedł.
Słowem, nie wiedziałem, co tu sobie począć.

A gdym się tak w sobie myślami trapił, do
tego przyszedłem postanowienia, że najlepiej zrobię,
gdy się najprzód wszystkim sprawom tego świata,
jakie są pod słońcem, dokładnie przypatrzę, jedno
z drugimi rozumnie porównam, a potem dopiero ta-
kie wybiorę sobie powołanie, w którembym spokojne
prowadząc życie wszystkie swe sprawy do porządku
przywiódł. Im więcej i głębiej o tem rozmyślałem,
tem lepiej ta droga mi się podobała.



ROZDZIAŁ II.

„Wszędybył“ wodzem pielgrzyma.

Wyszedszy z domu zacząłem się trochę w koło
rozpatrywać, myśląc u siebie, jak się brać do dzie-
ła. Tu naraz wziął się, skąd wcale nie wiem, obok
mnie człowiek prędkiego chodu, ruchliwych oczu,
biegłej wymowy. Nogi, oczy, język zwinne jak na
bąku. Ten się przywinawszy zaczyna się pytać, skąd
przychodzę, dokąd iść zamierzam, co mię prowadzi?
Ja odpowiedziałem, że wyszedłszy z domu mam za-
miar pójść w świat, nieco się rozpatrzeć i tak po-
znać życie.

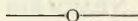
Pochwalił mój zamiar i zapytał, mówiąc:
„Gdzie masz przewodnika“? — „Przewodnika nie
mam“, odpowiedziałem; „na Boga się spuszczę i na
oczy swoje, że mię nie zawiodą“. — „Tak ty nie nie
wskórasz“, odpowiedział na to. „Czy nie słyszałeś

o labiryncie na wyspie Kreta“? — „Słyszałem nie-
coś“ — odpowiedziałem. — „Był to cud świata“, od-
powiedział na to, „budynek ogromny, mający tyle
pokojów, przejść, przegród, że kto do niego wszedł
bez przewodnika, choć ustawicznie tam i sam cho-
dził, nigdy się jednak na zewnątrz nie dostał. Lecz
ten labirynt był fraszką tylko w porównaniu z wiel-
kim labiryntem świata, szczególnie jak dzisiaj jest
urządzony. Nie radzę ja tobie, wierz doświadczonemu,
puścić się do niego s a m o t n i e, bez wodza“.

„A skądże wezmę takowego wodza“? rzekłem
do niego. — „Ja tu jestem na to, abym oprowadzał,
gdy kto chce niecoś widzieć i badać, tudzież bym
pokazał, gdzie się co znajduje. Dlatego naprzeciw
tobie wyszedłem“. Zdumiałem się trochę i rzekłem
do niego: „A któż ty jesteś, mój miły Panie“? —
Na to odpowiedział: „Nazywam się „Wszystkowiedz“
z przydomkiem „Wszędybył“. Cały świat przechodzę,
w każdy kąt wglądam, o czyny i słowa każdego
człowieka się dopytuję; co jest jawnego, wszystko
oglądam, co jest ukrytego, ściśle dochodzę; słowem
bezemnie nie się stać nie ma, wszystkiego dociekać
jest mą powinnością. Jeżeli ze mną pójdziesz, to cię
na wiele tajnych miejsc zawiodę, dokąd byś sam ni-
gdy w życiu nie trafił.“

Słyszając te rzeczy zacząłem się w sercu swo-
jem radować, że takiego wodza dla siebie znalaz-
łem. Prosiłem, aby nie było mu trudem, mię
przez świat prowadzić. Odpowiedział na to: „Jak
innym chętnie w tej sprawie służyć, tak też i tobie“.
A tak ujawszy mię za prawą rękę rzekł: „Chodź-
my!“ Ruszyliśmy tedy; a ja powiedziałem: „Chę-
tnie się przypatrzę, jaki świata bieg, tudzież czy jest

coś w nim zupełnego, czegoby się człowiek bezpiecznie mógł trzymać.“ To słysząc towarzysz zastanowił się nieco i rzekł do mnie: „Mój przyjacielu! jeżeli z tym umysłem wybierasz się w drogę, byś o rzeczach naszych, gdy się w nich rozpatrzysz, według rozumu wydał orzeczenie, nie zaś je polubił, to naprawdę nie wiem, czyby z tem Jej Mość Królowa nasza spokojną była“. „A któż jest ona, ta Królowa Wasza?“ ja się zapytałem. „Ta, co światem całym i jego biegiem od kończyn do kończyn władnie i rządzi. Mądrość jest jej imię, choć ją półmędrkowie „Marnością“ przewali. A więc zawczasu daję ci radę, nie mędrkuj u siebie, gdy chodząc tam sam rozlicznym się sprawom będziem przyglądali, bo mógłbyś przytem nieco oberwać, a ja też przy tobie.“



ROZDZIAŁ III.

Omamienie się przyłączyło.

Gdy tak ze mną mówił, przyszła ku nam z boku jakaś osoba; nie mogłem rozeznąć, czy to mąż czy kobieta, bo jakąś powłoką była okryta, jakby we mgle stała. „Dokąd, Wszędymy, śpieszysz z tym człowiekiem?“ pyta się przywódcy. — „Do świata go wiode; chce mu się przypatrzeć“, odpowiada na to.

„A czemuż bezemnie?“ rzekła owa postać. „Moją powinnością jest pokazywać, a twoją prowadzić. Czy ty tego nie wiesz? Nie jest to wolą

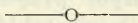
Jej Mości Królowej, aby ktokolwiek w Królestwo jej wejdzie, co widzi i słyszy, tak sobie tłumaczył i krytykował, jak mu się podoba. Tu mu się objaśni, co która rzecz znaczy i do czego służy; on na tem przestaje.“

Na co Wszędybył odpowiedział, mówiąc: „Czy my każdego tak nie trzymamy, że równie z innymi na rady nasze się zgadza? Ten jednak będzie, jak mi się wydaje, potrzebował uzdy. A więc dobrze! Chodźny!“ Tak do nas przystał i ruszyliśmy.

Mnie zaś ta myśl przyszła: „Aby mię też tutaj nie zawiedziono! O jakiejś uzdzie na mnie wspominali.“ Tak więc do nowego towarzysza rzekłem: „Miły przyjacielu! Nie miej mi za złe, że cię o imię twoje zapytam.“ Odpowiedział na to: „Jestem tłumaczem w służbie Mądrości, Królowej świata. Mam polecenie, abym nauczał, jak się co w świecie rozumieć powinno. Ja wszystkim ludziom, których w świecie widzisz, młodym i starsym, wysokiego i niskiego rodu, uczonym, prostaczkom na myśl przywodzę, co do prawej świeckiej mądrości należy, a tak ich w dobrej myśli i w wesołości serca utrzymuję. A gdyby nie ja, toby królowie, książęta, panowie i wszyscy dostojni, okazali ludzie w tęsknocie żyli i smutne czasy na świecie mieli.“

Na to ja rzekłem: „Toć mi szczęśliwie dał cię Bóg za wodza, jeżeli to prawdą miły przyjacielu. Dlatego się bowiem do świata wybieram, abym wyszukał, co najweselszego, najbezpieczniejszego w nim znajdę, i tego się trzymał. Mając tedy takiego doradcę, łatwo będę w stanie te rzeczy obrać“. — „O tem nie wątpij“.

rzekł do mnie doradca. „Przekonasz się zaraz, jak w Królestwie naszym wszystko szlachetnie jest urządzone, jak wszystkim poddanym Królowej naszej dobrze się wieść może. Prawda, jak to zawsze bywa; jedno powołanie ma więcej wygody i więcej wolności niż drugie. Będiesz w stanie wybrać sobie ze wszystkiego, co ci się podoba. A ja ci objaśnię wszystko, jak co jest“. — Tedy ja rzekłem: „Jak cię nazywają?“ — „Omamienie“, odrzekł, „jest moje imię.“



ROZDZIAŁ CZWARTY.

Pielgrzym otrzymał uzdę i okulary.

Słyszac to imię, przeraziłem się nieco w sercu swem na myśl, jakiegom do grzechu towarzysza dostał. „Pierwszy z nich o jakiejś uzdzie mówił“, pomyślałem sobie; „drugi się Omamieniem zowie, a Marnosć królową swoją nazywa, choćby to tylko przez nieostróżność z niego wybuchło. Cóż to z tego będzie?“

A gdy tak milcząc oczy do ziemi spuściłem i bardzo niechętnie pokraczowałem, krzyknie Wsędybył: „Cóż to, ty tchórze? Czy ci się nazad cofać zachciewa?“ Nim słowo rzekłem, wrzucili mi jakąś uzdę na głowę i jej wędzidło do ust wsunęli. „Teraz mi pójdziesz“, rzecze Wsędyby, „dokąd iść zacząłeś.“

Patrząc na tę uzdę, a oto widzę, uszyta była z rzemienia Ciekawości, a jej wędzidła były robione

z żelaza Upartości w przedsięwzięciach. Tak zrozumiałem, że świat oglądać pójde, nie jak pierwotnie chciałem, dobrowolnie, lecz że mię ciekawość i niespokojność umysłu mego gwałtem pociągnie.

W tej chwili drugi przewodnik z drugiej przystępując strony, powiada do mnie: „A ja tobie te okulary daruję, abyś tylko przez nie na ten świat patrzył.“ I włożył mi na nos swoje okulary, a ja patrząc przez nie wszystko przed sobą w innej postaci widziałem. Wielokrotnie o tem się przekonałem, że te okulary dziwną moc miały. Kto przez nie patrzył, temu rzecz daleka przedstawiała się bliską, a bliska daleką, rzecz mała wielką, a wielka małą, rzecz brzydka piękną, a piękna brzydką, czarna białą, a biała czarną itd. Więc zrozumiałem, że sprawiedliwie nazywa się Osmieniem, gdy takie okulary umie wyrabiać i zrzęcznie ludziom na oczy wkładać.

Okulary były, jak się o tem później przekonałem, wyrobione ze szkła Domniemania, oprawne w okłady z rogu, zwanego Zwykiem.

Na szczęście dla mnie, włożył mi je trochę krzywo, tak, że oczu całkiem nie zasłaniały. Gdy głowę spuściwszy z góry spojrzałem, mogłem ujrzeć rzeczy, jakimi są. Cieszyłem się z tego, myśląc u siebie: „Chociażeście usta moje zamknęli i oczy zasłonili, jednak ja w Bogu ufność pokładam, że mi rozumu i myśli moich nie zawiążecie. Pójde się popatrzeć, jaki jest ten świat, którego pania jest Marność. Ona chce wprawdzie, byśmy go widzieli; jedno zabrania byśmy nań własnem okiem nie patrzali“.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Pielgrzym z wysoka na świat patrzy.

Gdy tak rozmyślam, nie wiem, co się stało, lecz się naraz na jakiejś bardzo wysokiej wieży ocknałem. Zdało mi się, że pod obłokami jestem. Patrząc stąd na dół i widząc miasto jakieś, piękne, okazałe i bardzo szerokie. Granice jego od każdej strony mogłem rozpoznać. Zbudowane było we formie okrągłej, murami, wałami zewsząd otoczone. Zamiast przykopy była głębina jakaś wielka, ciemna; ni brzegu ni dna oko nie widziało. Nad miastem jaśniało przyjemne światło, poza murami była gęsta ciemność.

Miasto, jak widziałem, podzielone było na liczne ulice, rynki, domy, gmachy, większe i mniejsze, a wszędy ludzi pełno jak mrowia. Od strony wschodu widziałem bramę jakąś stojącą; od niej szła ulica do bramy innej od strony zachodu. Z tej drugiej bramy dopiero na różne ulice miasta się wychodziło. Sześć ich naliczyłem, a wszystkie od wschodu na zachód biegły jedna obok drugiej. W środku samego miasta był plac czyli rynek, wielki, okrągły, a dalej w stronę zachodu był zamek wspaniały, na wysokim, przykrem i skalistym wzgórzu wybudowany. Obywatele onego miasta wszyscy się najwięcej nań oglądali.

Przywódca Wszędybył odzywa się do mnie: „Otóż, pielgrzymie, tu masz przed sobą ten świat ukochany, na który popatrzeć gorąco pragnąłeś. Na tę wyżynę cię zaprowadziłem, abys jego całość najpierw oglądał i urządzenie jego wyrozu-

niał. Ta wschodnia brama, to brama żywota; przez nią wszyscy idą, którzy na pobyt na świat przychodzą. A ta druga brama, to brama rozchodu; z niej każdy człowiek idzie na drogę powołania swego, jak komu los padnie“.

„Ulice zaiste, które tu widzisz, to rozliczne stany, rządy, powołania; w nich się tu ludzie stale osadzają. Głównych przed sobą masz ulic sześć. W ulicy od strony południa mieszka stan zwany rodzinnym, rodzice, dziatki, czeladka; w ulicy następnej są rzemieślnicy i wszyscy ludzie, co się o żywność człowieka starają. W ulicy trzeciej, w pobliżu rynku mieszka stan uczonych, to jest takich ludzi, którzy się umysłowemi pracami zajmują. Z drugiej strony jest stan duchowny; do nich idą, którzy na nabożeństwo przychodzą. Na dalszej ulicy przebywa zwierzchność i mocarze świata. Tam w stronę północy jest stan rycerski, sprawą waleczności się zajmujący. Tak wszystko w najlepszym znajdziesz porządku. Ci tam wszystkich rodzą, ci znowu żywią, ci tu nauczają, owi za wszystkich się modlą, tamci wszystkich sądzą i od zamętu i zaburzeń bronią, owi za wszystkich walczą, a tak sobie wszyscy wspólnie pomagają i równowagę w życiu utrzymują.

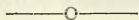
Tam w stronę zachodu wznosi się Gród szczęścia. Mieszkają w nim ludzie znakomitych rodów, bogactwa, rozkoszy, sławy zażywając. Rynek w samym środku jest wszystkim wspólny; na nim się zewsząd ludzie schodzą, a co potrzeba, wykonywują. W samym środku rynku ma swą stolicę Królowa świata, Mądrością zwana.

Bardzo mi się takie urządzenie rzeczy podobalo. Zaczalem tedy Pana Boga chwalic, ze wszystkie stany swiata tego mądrze porozdzielac raczył. To mi się tylko nie podobalo, zem te ulice na wielu miejscach widział rozerwane, tak ze tu i ówdzie jedna do drugiej wchodzila, co bylo znakiem, ze tu łatwo można pomylic się, zbladzic. A widząc wyraźnie, jak ten swiat okragłym, dokładnie też czulem, jako się poruszal i kolem toczyl, tak ze się zawrotu glowy lękalem. Powiodłszy oczami po jego powierzchni, widziałem, jak się do najdrobniejszych rzeczy wszystko garnęło. A gdym ucha nadstawil, słyszałem, jak wszędzie pełno bylo huku i stuku i szeptów i zgiełku i krzyku wokoło.

Rzecz do mnie tłumacz, zwany Omamienie: „Widzisz, mój miły, jak ten swiat rozkoszny, jak wszystko w nim jest udoskonalone? Kiedy już z daleka takim się wydaje, cóż powiesz dopiero, gdy go w częściach i rozkoszach jego bliżej obejrzysz! Komużby też na nim miło nie było?“ — „Z daleka“, rzekłem, „bardzo mi się podoba; jak z bliska będzie, tego jeszcze nie wiem“. — „Zapewnie dobrze“, rzecze Omamienie, „wierz tylko, a chodźmy!“

Wszędybył rzecz: „Zaczekaj, jeszcze mu nieco pokażę, bo już tu potem nie powrócimy. Popatrz się jeszcze nazad ku wschodowi! Widzisz, jak się tam od tej ciemnej bramy nieco porusza i naprzód idzie?“ — „Widzę“ odpowiedziałem. „To są ludzie“, rzecze, „co na swiat przychodzą, skąd, sami nie wiedzą, ani się nie znają; a że są ludźmi, także nie wiedzą. Koło nich jest ciemność i tylko płaczu i krzyku niemało. Lecz gdy tą ulicą naprzód postępują, powoli się szarzy i poranek świta, aż

przyjdą do tej bramy, ot, tu pod nami. Co się tam dzieje, oglądać wyjdziemy“.



ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Los rozdziela powołania.

Po ciemnych schodach zeszedliśmy na dół, a oto za bramą była wielka sień, a w niej pełno ludzi w młodocianym wieku. Po prawej stronie był ponury starzec, siedząc trzymał w ręku wielką wazę z miedzi. Wszyscy idący od bramy żywota z kolei do niego przystępowali, każdy sięgnawszy do wazy jego wydobył karteczkę z jakimś napisem i zaraz do którejś z ulic miasta wchodził. Jedni szli z radością i wykrzykaniem, drudzy ze smutkiem i narzekaniem, kręcąc naokół się i oglądając.

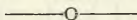
Przystąpiwszy bliżej spojrzałem niektórym na ich karteczki i widziałem napis u jednego: *Panuj!* u innego: *Służ;* u jednego: *Rozkazuj!* u drugiego: *Słuchaj;* u tego: *Pisz!* u innego: *Orz!* u tego: *Ucz się!* u owego: *Kopaj;* u tego: *Sądź!* u innego: *Walcz!* i t. d. Dziwię się, co to znaczyć może. Wszechwied mi rzecze: „Tu się powołania i prace rozdaje. Każdy człowiek bierze polecenie, do czego się w świecie powinien dać użyć. Zarządca powołań nazywa się Losem, a każdy człowiek przychodzący na świat musi tym sposobem przyjąć na drogę życia polecenie.“

Wtem z drugiej strony trąca mię ręką Osmienie, dając mi zrozumieć, abym i ja sobie karteczkę wyciągnął. Ja zaś prosiłem, by mię nie



nęcono brać się odrazu do tego, owego, bo ja się najprzód rozpatrzeć pragnę i nie chcę na oślep brać, cokolwiek padnie. Odpowiedziano, że bez wiadomości i zezwolenia radcy, pana Losu to być nie może. Więc przystąpiwszy pokornie do niego wynurzyłem prośbę, że z tym zamiarem przyszedłem tutaj, abym się najprzód wszystkiemu przypatrzył, a potem dopiero obrał dla siebie, co mi się podoba.

On na to rzecze: „Widzisz, mój synu, że inni tego nie czynią. Co im się poda lub na co się wskazuje, tego się trzymają. Ale kiedy tak chcesz, więc niechaj tak będzie.“ Wziąwszy karteczkę, napisał na niej: „Speculare, czyli: rozpatrz się i badaj.“ i pozwolił odejść.



ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Pielgrzym rynek świata ogląda.

Rzekł mi mój przewodnik: „Ponieważ wszystko obejrzeć zamierzasz, to najprzód pójdźmy na rynek miasta“. Tam mię zaprowadził. A oto, niepoliczone zastępy widziałem, prawie jako mgła. Z całego świata byli tu ludzie wszelkiego wieku, wzrostu i płci, wszelkiego stanu, rządu, powołania. Na pierwsze spojrzenie widziałem ich ruchy, jak się tam i sam przedziwnie kręcili, prawie jak pszczoły, kiedy się roją, a jeszcze dziwniej.

Jedni chodzili, inni biegali, inni jeździli, inni stali, inni siedzieli, inni leżeli, inni stawali, inni się kładli, inni rozlicznie się okręcali; niektórzy

byli samotni, inni gromadami większemi, mniejszemi. Ubiory mieli najrozmaitsze, niektórzy byli zgoła całkiem nadzy; wszyscy jakieś dziwne miny stroili. Spotkali się którzy, to było poruszeń i komplementów usty, rękami i kolanami, było uścisków i obejmowania i jak się tam wszystkie te rzeczy zowią. Tłumacz mój na to rzecze: „A więc, oto masz to szlachetne ludzkie pokolenie, ten rozkoszny twór ręki Pana Boga, rozumem darzony i nieśmiertelnością. Obraz Pana Boga, podobieństwo jego na sobie mają, co z rozlicznych i niepoliczonych ich czynów wynika. Tu widzisz dostojność pokolenia swego jakby we zwierciadle.“

Przyglądam się ostrzej i spostrzegam najprzód, że każdy z nich maskę na twarzy nosi, gdy się w społeczeństwie z innymi znajduje; gdy zaś jest sam na sam, lub z równymi sobie, to ją zdejmuję; lecz natychmiast wkłada, gdy między innych wychodzić zamierza. Pytam, co to znaczy? „To jest, Synu miły, ludzka ostrożność“, rzecze przewodnik. „Człowiek nie chce wszystkim ludziom objawiać, kim jest rzeczywiście. Sam u siebie może być, jakim jest, ale przed ludźmi trzeba się koniecznie okazać człowiekiem i sprawom swym nadać poważną postawę“. Stąd przyszła mi chętka, pilniej się przypatrzeć, jak ludzie bez tego okrycia na zewnątrz wyglądają.

Uważając na to spostrzegłem, że wszyscy, a nie tylko w twarzy, lecz na całym ciele byli przemienieni. Prawdziwie byli trędowaci, owrzodziali, ospowaci, a oprócz tego niektórzy mieli pysk świni, inni zęby psa, inni rogi wołu, inni uszy osła, inni oczy bazyliuszka, inni ogon lisa, inni pazury wilka;

niektórzy, widziałem, mieli szyję pawia, wyciągniętą w górę; inni mieli czuby bardzo najeżone, niektórzy zaś mieli kopyta końskie i t. p., największa ich liczba równała się małpom. Złakłem się i rzekłem: „A toć to jakieś potwory widzę“. — „Co mówisz, ty durniu, że to potwory?“ krzyknął na mnie tłumacz, grożąc mi pięścią. „Dobrze się przypatrz przez okulary; poznasz, że to ludzie“. Z przechodzących niektórzy dosłyszeli, że ich potworami nazwałem i zaczęli się oburzać, ba chcieli się na mnie targnąć. Zrozumiałem tedy, że tu nie miejsce do mędrkowania, zamilkłem, i pomyślałem u siebie: „Gdy chcą być ludźmi, to niech sobie są; wszak co ja widzę, to ja przecie widzę“. Lękałem się jednak, by mi okularów mocniej nie nacisnął i mię nie omamił, dlatego postanowiłem lepiej milczeć i w cichości tym jawnym rzeczom, jakom rozpoczął, się przypatrywać. Patrzę się dalej, a widzę, jak zręcznie niektórzy ludzie z temi maskami zachodzić umieją, zręcznie je zdejmując i znowu wkładając, tak, że w okamgnieniu, gdy za potrzebne uznali, inną sobie postać nadać umieli. Tu przychodziłem do wyrozumienia biegu tego świata, ale mileżałem.

Uważając dalej przekonałem się, że rozlicznymi językami do siebie mówili. O większych sprawach nie nie rozumieli ani co do nich nie nie odpowiadali, lub odpowiadali ale o czemś innem, o czem nie mówiono, każdy inaczej. Niekiedy stała się gromada, wszyscy równocześnie mówili, każdy swoje, a nikt nikogo nie słuchał, choć nawet jedni drugich za ręce szarpali, posłuchania żądając. Tego jednak nie osiągli, prędzej do rwania i szarpania

doszli. I rzekłem u siebie: „Dla Pana Boga, czy to w Babilonie jesteście? Tu przecie każdy swą własną pieśń śpiewa. Czy może być jeszcze większe zamieszanie“? Tak pomyślałem.

Niewielu ich było, co próżnowali, wszyscy się jakąś pracą zajmowali. Ale te prace, o czymby człowiek ani nie pomyślał, nie były niczem, jak tylko zabawką, jak się dzieci bawią i się dokładają. Niektórzy z tych ludzi zbierali śmiecie i między sobą je rozdawali; inni kamienie, belki przewracali, lub je skrzypcami w górę wyciągali lub na dół spuszcza-
li; inni ziemię kopiąc, z miejsca na miejsce ją przeważali lub przenosili; reszta ludu bawiła się dzwonkami, zwierciadłami, workami, rupieciami, inni zaś bawidełkami się zajmowali; niektórzy się własnym cieniem zabawiali, za nim biegali, łapali go i rozmierzali. Wszystkie te rzeczy z takim wysileniem wykonywali, aż stękali, pocili się, a niektórzy nawet siebie narywali. Wszędzie prawie byli jacyś urzędnicy, którzy takie rzeczy ludziom polecali i z wielką powagą nimi zarządzali. Inni zaś rozkazów poważnie słuchali i je pełnili. Zdumiałem się nad tem i rzekłem, mówiąc: „Czy na to jest człowiek, aby rozumu od Boga danego i bystrości jego na takie marne i podle rzeczy używał?“ — „Co marne?“ — rzekł tłumacz — „Czy tu nie widzisz jak we zwierciadle, jak ludzie wszystko rozumem swoim na świecie przemagają? Jeden robi to, a drugi owo!“ „Ale robią rzeczy nieużyteczne i nie zgadzające się z wysokiem powołaniem człowieka“. — „Nie mędrkuj zanadto“ — rzekł znowu do mnie — „jeszcze nie są w niebie, ale tu na ziemi, przeto ziemskimi sprawami zajmować się muszą. Czy ty nie widzisz, jak przytem wszystko w porządku się dzieje?“

Ja zaś patrząc nazad przekonałem się, że większego nieporządku nie można było sobie wyobrazić. Gdy się kto jaką rzeczą zajmował i trudził, naraz przychodzi inny i w jego sprawy wtrąca się odpor- nie. Ztąd od razu zwady, rwania się i bójki; zaczęli się mierzyć, a po chwili do siebie się brać. — Niekie- dy do jednej rzeczy brało się ich kilku, za chwilkę ją wszyscy odbiegli i każdy w swą stronę się obra- cali. Którzy pod mocą urzędników i dozorców byli, ci jako tako powinność swoją pełnili, ponieważ mu- sieli, lecz i tu widziałem rozmaity zamęt. Jedni, wy- rwawszy się z rzędu, uciekali, drudzy się sprawcom swym sprzeciwiali, nie chcąc tak robić, jak im rozka- zano; inni się do kijów zabierali i je nawzajem sobie wydzielali. Słowem wszędzie było wielkie zamie- szanie. Ponieważ to jednak porządkiem nazwano, nie śmiałem już więcej słowa powiedzieć.

Inny jeszcze nieład spostrzegłem wokoło, bła- żeństwo, ślepotę. Na całym rynku, jak potem i na ulicach, pełno było jam, dołów i dziur do ziemi; na- poprzek leżały belki, kamienie i różne przeszkody, tamujące drogę; nikt ich nie uprzątnął, nikt na bok nie złożył, drogi nie urządził ani poprawił, żadnej przeszkody z niej nie usunął, tylko ją, jak mógł, ob- szedł naokoło. Wielu przechodziło, jeden i drugi uderzył się, upadł, stłukł się, nawet zabił, aż się serce we mnie ścisnęło, gdy na to patrzałem. Przytem nie troszczył się nikt o nikogo, ale gdy kto upadł, to się inni śmiali. Widząc tedy wkoło, jak się ludzie przez belki, jamy i przeszkody ślepo przebijali, za- częłem ich wzywać, przestrzegać i wołać, lecz nikt na to nie dbał. Niektórzy się śmiali, inni mię łajali, inni zaś bić chcieli. Jeden padłszy nie wstał, drugi

wstawszy, chce iść dalej, lecz znowu koziołka przewrócił, a tak się jeden po drugim taczali. Mozołu, trudności każdy miał dosyć, lecz nikt o to nie dbał. Patrząc na tę dziwną obojętność, nie mogłem jej pojąć. Na własne upadki i pokaleczenia prawie nie zważali, lecz gdy kto inny ledwie się palcem człowieka dotknął, już ci ogień na dachu, odrazu do broni i do wojowania, jak to sam widziałem.

Spostrzegłem u nich niemałą chętkę do różnych przemian i do nowości w ubiorach, budowach, rozmowach, obejściu się z ludźmi i innych rzeczach codziennego życia. Widziałem, że jedni nie nie robili, tylko ustawicznie ubiory zmieniali, innego kroju szaty przywdziewając; inni wymyślali nowe sposoby budowania domów, a co zbudowali, to po chwili znowu rozburzyli. Co do roboty brali się do tego lub do owego, a wszystkiego znowu prędko zaniechali, a wszystko przez jakąś dziwną niestalość. A gdy kto umarł dla brzemienia swego, z którem się w drodze bardzo wysilił, lub gdy je porzucił, to się ich od razu nie mało znalazło, co się o nie rwali, wadzili i bili, aż do podziwu. A gdy kto co mówił, czynił, postanowił, zawsze się zewsząd inni znaleźli, co go wyśmiali, pracę jego zohydzi i w niwecz obrócili. Jeden wykonał pracę znamienitą, z wielkiem wysileniem i niemałym kosztem i wielkie w niej znalazł upodobanie; a nuż ktoś przychodzi, co rzecz tę potępi, zburzy, zohydzi. Tak ci naprawdę nikogo nie widziałem, coby takową sprawę wykonał, którejby nikt znowu nie zniszczył, nie skaził. Niektórzy na innych nawet nie czekając sami własne swe dzieła niszczyli, burzyli, ażem się nad taką błazeńską zmiennością i ta-

kiem daremnem usiłowaniem nadziwować nie mógł.

Wielu ich widziałem, co we wysokich trzewi-
kach chodzili, inni sobie szczudła do nóg przy-
wiązali, aby od innych będąc wyższymi na wszy-
stkich z góry spoglądać mogli. Lecz im kto wyżej
był podniesiony, tem łatwiej się zachwiał i upadł,
albo mu inni przez zawiesć serca nogi podrywali.
Niejeden doznał takiego upadku, z czego się obecni
do rozpuku śmiali. Takich przykładów dużo wi-
działem.

Spostrzegłem niektórych, co z sobą zwiercia-
dła nosili. Ci gdy z innymi rozmawiali, wadzili
się, rwali, belki na drogę walili i na szczudłach
chodzili, jednak do zwierciadła często spoglądali, a to
z przodu, z tyłu, z boków siebie oglądając, nad swą
pięknością, nad wzrostem swoim, sposobem chodze-
nia, językiem cmokali, innym zwierciadła swoje
podawając, aby się tylko na nich patrzyli.

W końcu spostrzegłem, jak się wśród nich
wszędzie śmierć przechadzała. Miała kosę ostrą, mia-
ła łuk i strzały, a wszystkich ludzi doniosłym gło-
sem napominała, aby pamiętali, że są śmiertelny-
mi. Lecz jej wołania nikt nie posłuchał, każdy się
tylko błazeństwem swoim i śmieciami bawił.
Śmierć tedy strzały z sajdaku brała i na wszystkie
strony z łuku strzelała. Kogo więc z tłumu czy to
młodego albo starego, czy ubogiego albo bogatego,
czy uczonego albo prostaczka bez różnicy stanu,
strzałą trafiła, ten chwiał się i padał. Kto został
raniony, krzyczał, płakał, rwał się; inni około nie-
go chodzili, rany oglądali, pierzchali nieco i wkrótce
znowu na nie niedbali. Niektórzy przyszedłszy spoj-
rzeli na ranionego, jak umierając ciężko oddychał,

a gdy nogi wyciągnawszy oddychać przestał, to się zgromadzili, zaśpiewali sobie około niego, potem jedli, pili, wykrzykiwali, a niektórzy przytem też trochę płakali. Potem go porwawszy, wywlekli z miejsca i wyrzucili przez parkan do ciemnej jamy, która świat otacza. Ztamtąd wróciwszy to samo, co przedtem robili; śmierci też nikt nie wypędzał, o to się starając, by na nią nie patrzył, choć się wokoło nich ocierała.

Widziałem także, iż nie wszyscy, których postrzeliła, zaraz upadali. Niektórych tylko poraniła, ochromiła, oślepiła, ogłuszyła, omroczyła, Niektórzy zostawszy strzałą zranieni, odęli się jak pęcherz, inni wyschli jak trzaska, inni się trzęśli jak osika i t. p. Więcej ludzi było poranionych, co z gnijącymi i porażonymi członkami chodzili, niż było zdrowych.

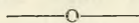
Widziałem ludzi nie mało, co biegając, na te rany przedawali plastry, maści i wódki. Kupowali wszyscy takie lekarstwa, z radości sobie nuż podskakując i śmierci się sprzeciwiając. Lecząc ona o to wcale nie dbała, strzałami miotała, ludzi powalała, a nawet tych samych, co lekarstwa przedawali, zabijała. Mnie przykro było na to się patrzeć, jak stworzenie Boże, dla nieśmiertelności przysposobione, tak żałośliwie, bez wszelkiej nadziei, rozliczną śmiercią umiera i ginie. Przekonałem się, że gdy kto najwięcej do życia się stroi, przyjaciół zjednywa, żywność zgromadza, domy buduje, pieniędzy nabywa, dla siebie pracuje i sił nadwiera, to naraz strzała śmierci przyleci i wszystkim zabiegom koniec położy. Kto sobie na świecie dobrze pościelał, ten z niego teraz jest wywleczone, a bogactwa jego na nic wychodzą. Po nim idzie inny, ale i temu równie się

dzieje; tak samo trzeciemu, czwartemu, setnemu. Widząc naokoło, że na niepewność życia nikt nie zważa ani jej sobie do serca nie bierze, ale że wszyscy, lubo paszczęka śmierci się otwiera, tak sobie zuchwale jeszcze poczynają, jakby nieśmiertelności najpewniejsi byli, tak się zasmuciłam, że we mnie ledwie serce nie pękło. Chciałam głos podnieść, prosić, napominać, aby tylko oczy otworzyli i spojrzeli na śmierć, jak strzały swoje na cięciwie kładzie, aby ustąpili i siebie schronili. Lecz kiedy śmierć sama ustawicznie wołając i w groźnej postawie na oczy im leżąc, nie wskórać nie mogła, to cóż ja biedny, śmiertelny człowiek choćby naleganiem jak najgorliwszem osiągnąć zdołam? W cichości tedy sam u siebie rzekłam: „Niech Bóg się zmiłuje, że my to biedni, śmiertelni ludzie na własne nieszczęście tak ślepi jesteśmy“. Odpowiedział tłumacz: „Czy, mój kochany, byłoby mądrze, gdyby się człowiek trapił myślami o śmierci? My wszyscy wiemy, że jej nie ujdziemy, przeto jest lepiej nie myśleć o niej, dbać o swoje rzeczy i być dobrej myśli. Gdy przyjdzie, to przyjdzie, w niektórej godzinie zakończy się sprawa, a niegdy nawet w jednym okamgnieniu. Czy inni mają przestać się weselić, ponieważ ktoś umrze? Na miejsce jednego dosyć się narodzi“. — Na to rzekłam, mówiąc: „Jeżeli w tem mądrość zależy, to ja tych rzeczy wcale nie rozumiem“, i zamilkłam.

Gdy takie mnóstwo widziałem strzał śmierci latających w koło, przyszło mi na myśl, czego nie taję: „Skądże śmierć tak wiele onych strzał bierze, że ich nigdy wszystkich nie wystrzela?“ A patrząc, istotnie tego dochodzę, że ona żadnych własnych strzał nie miała, jedno tylko łuk; strzały zaś brała sobie od

ludzi, każdą od tego człowieka, którego chciała postrzelić. Widziałem także, że ludzie te strzały sami wyrabiali i przysposabiali; że je sami lekkomyślnie i zuchwałe śmierci podawali, a ona je biorąc, nawet czasu tyle nie miała, aby je wszystkie powystrelała. To widząc, rzekłem: „Teraz rozumiem, że każdy człowiek sobie samemu śmierć przygotowuje“.

A tak spostrzegam, że kto umiera, każdy sam na siebie te strzały śmierci robi i sposobi, jeden nie-miernością, drugi porywczością, trzeci wszeteczeństwem, a inni w końcu zaniedbywaniem wrzodów, pękierzy i ran wewnętrznych, równie jak zewnętrznych, które są prawdziwie strzałami śmierci. A gdy tak pilnie na tę śmierć patrzę, jak za ludźmi goni, trąci mię naraz Omamienie, mówiąc: „Niemądry człowiecze, czy raczej umarłych oglądasz, niż żywych? Kto umrze, jest tam; ty się strój do życia!“



ROZDZIAŁ ÓSMY.

Pielgrzym się na stan rzemieślników patrzy.

Postępując naprzód, dostaliśmy się na ulicę, gdzie się wyrabiają rozmaite rzeczy potrzebne do życia. Ulica dzieliła się na mnóstwo mniejszych uliczek i placów, a wszędzie były rozliczne sienie, pracownie, kominy, warsztaty, kramy, a w nich wszędzie pełno rozmaitych rzeczy i narzędzi; naokoło zachodzili ludzie, a wszyscy z trzaskaniem, trzeszczeniem, uderzaniem, skrzypaniem, gwizdaniem, piskaniem, fukaniem, szelestem i chrzęstem najroz-

maitszym coś wyrabiali. Widziałem, niektórzy po ziemi grabili i kutali, bądź to na powierzchni jej coś pracując, bądź jako krety do jej wnętrzości się zapuszczając. Jedni wysilali się w wodzie, na rzekach, na morzu, inni robili coś w ogniu, inni patrzyli w powietrze, inni ze zwierzętami walczyli, jedni się drzewem i kamieniami zajmowali, inni rzecz jakąś tam sam przenaszali, przeważali. Rzekł do mnie tłumacz: „Patrz, jaka tu piękna i wesoła praca! Cóż się ci tutaj najlepiej podoba?“ Ja rzekłem: „Być może; jest tu wesołości nieco; lecz ja też widzę wysilenia dużo, a słyszę przytem wzdychania nie mało“. — „Nie wszystko jest ciężkie“ — odpowiedział na to — „przypatrzmy się bliżej niektórym z tych rzeczy“. Wodził mię tedy pośród nich od razu, ja zaś wszystko przeglądałem, a miejscami do tego, owego, na próbę się brałem, lecz wszystkiego na tem miejscu opisywać nie mogę, ani też nie chcę. Czegom jednak dociekl prawdziwie, dokładnie, tego nie zataję.

Najprzód poznałem, że wszystkie te ludzkie zawody i sprawy są tylko pracą i wielkim trudem, tudzież że każdy jest połączony z niebezpieczeństwem i niewygoda. Widziałem dokładnie, że, którzy z ogniem mieli do czynienia, jak murzyni byli, osmoleni, czarni, brzęk młotów zawsze w uszach im dzwonił i do połowy słuchu pozbawił; żar ognia zawsze błyszczał im w oczach, a od gorąca skóra się pękała. Którzy w głębiach ziemi robotę mieli, ciemność i zgroza była ich dziełem; nieraz się zdarzyło, że w głębokościach byli zasypani. Którzy w wodach pracowali, przemokli do nitki, drżeli od zimna jak liście osiki, wnętrzości ich cierpiały,

a w niemałej części w głębinach ginęli. Którzy się drzewem, kamieniami i innymi materiałami zajmowali, nie mało doznali mokołu, w pracy ustawając i narzekając. Widziałem zaiste, jak niektórzy w pracy ciągnęli jak woły; pot się lał z twarzy, nogi się chwiały od przesilenia, naciągali i wysilali się, że się wydawało, już pękną i padną od nadzwyczajnego wysilenia w pracy. A tem ogromnem sił nadwężeniem ledwie sobie na chleb zapracowali. Widziałem, prawda, że się inni łatwiej, wygodniej żywili, lecz gdzie mniej trudu, tam było więcej niesprawiedliwości i sprosnych fortelów.

Po wtóre widziałem, że człowiek tylko dla swych ust pracuje. Co kto wyrobił, do ust swych cisnął; rzadko się znaleźli, którzy nieco ustom własnym odjąwszy, do worka to kładli. Lecz i z tem była trudność nie lada. Albo był worek dziurawy, a co weń włożono, na ziemię wypadło, a inni to pozbierali, albo ktoś przypadłszy, wyrwał worek z ręki i uciekł z nim; albo właściciel sam niegdzie zawadził, worek mu się przerwał, lub z ręki wypadł, lub inną jaką przygodą zginął. Na własne oczy widziałem wyraźnie, że wszystkie te ludzkie usiłowania są jako woda, co się tam sam leje. Pieniądze przychodzą, a znowu odchodzą, z tą tylko różnicą, że łatwiej odchodzą niż się nabywają, czy je przez usta, czy przez skrzynie swoje przeprowadzamy. Z tego to powodu widziałem wszędzie więcej znużonych niż możnych, wesołych.

Po trzecie spostrzegłem, że każda praca całego człowieka i wszystkich sił jego wymagała. Gdy się kto obejrzał, albo choć niewiele ustawać zaczął, wnet w tył pozostawał, wnet mu jakoś wszystko z rąk

uciekało, ani się nie spostrzegł, jak na dziady wyszedł.

Po czwarte, wszędzie niemało trudności spostrzegłem. Gdy się kto do handlu sposobić zaczął, niemałą część życia na przygotowaniach spędzał. Wziąwszy się do pracy, musiał troskliwie takowej pilnować, bo gdy tylko nieco pracy zaniedbał, już się mu wszystko nazad cofało. Lecz przy najpilniejszych ludziach uważałem, że tak często szkody, jak zyski miewali.

Po piąte stwierdzam, że wszędzie widziałem pełno zawiści i nieprzyjaźni, szczególnie u ludzi, co się podobnym handlem zajmowali. Dostało się komu więcej rzeczy zrobić, lub też od niego więcej kupowano, to sąsiedzi zaraz krzywo spoglądali, zębami zgrzytali, a gdy jako mogli, szkodzili i psuli. Ztąd powstawała niezgoda, niechęć i grzech rozmaity; a niektórzy w gniewie rzeczami miotali i innym na przekór próżnowaniu się oddając, w nędzę popadali.

Po szóste, wszędzie dużo spostrzegłem fałszu i oszustwa. Co kto wyrabiał, zwłaszcza dla innych, wszystko jako tako robił, byle się zbyć rzeczy, a przytem swą pracę pod niebo wynosił i bardzo wysławiał.

Po siódme, znalazłem tu dużo zbytecznych marności; istotnie bowiem przekonałem się, że owe zajęcia i prace w największej części są szczerą marnością, tudzież błazeństwem, którego na nic użyć nie można. Ciało człowieka nie potrzebuje nadzwyczajnych rzeczy do utrzymania, przeciwnie na skromnem jedzeniu i piciu najlepiej wychodzi; skromną też szatą da się przyodziać i skromnem mieszkaniem od zimna i mrozu da się ochronić. Nie trzeba

tedy do utrzymania ciała wielkich rzeczy; maleńkie i skromne o nie staranie i pieczołowanie zupełnie wystarczy, jak to za dawnych czasów bywało. Spostrzegłem także, że świat tych rzeczy osądzić nie umie, albo też nie chce, bo dla napelnienia swojego brzucha i jego zalania tyle nadzwyczajnych rzeczy potrzebuje. Dla ich nabycia krząta się po ziemi, krząta po morzu wielka liczba ludzi; siłą się i życie swoje narażają na niebezpieczeństwa; nad nimi znowu inni są dozorczy postanowieni, którzy ich pilnują. Podobnym sposobem dużo się ludzi trudni urządzaniem różnych ubiorów, wyrabianiem materyi i przerabianiem w rozmaite formy, niekiedy nawet bardzo dziwaczne, co wszystko poniekąd jest trochę zbyteczne, marne, a czasem nawet i grzeszne. Wśród rzemieślników się rozpatrywałem: mają naukę i pracują pilnie, ale to wszystko dziecinna zabawka dla rozrywki ludzkiej, marnowanie czasu. Inni zaś pracując wyrabiali narzędzia na zniszczenie ludzi, miecze, sztylety, rusznice, spisy i t. p. Wszystkie te rzeczy na zgubę człowieka. Z jakim sumieniem oni to robią, z jaką pociechą w nich chleba szukają, ja nie rozumię. Wszelako to wiem, że gdyby z tych robót na bok odłożono, co w nich zbytecznego jest i grzesznego i niepotrzebnego, to większa część handlu pomiędzy ludźmi ustałaby musiała. Z tego powodu i z przyczyn wyżej wypowiedzianych nie sobie z tych rzeczy myśl moja obrać nie upodobała.

W końcu widziałem, że tutaj ludzie tylko dla ciała zapomocą ciała pracują, nie dbając o to, że człowiek ma duszę, daleko przedniejszą i wielce zacniejszą. Dla niej przedewszystkiem trzebaby pracować i o zacniejsze zyski się oglądać.

Jedną rzecz osobliwie chcę tu przypomnieć, jak mi się między jeżdżącymi po ziemi i płynącymi po morzu zdarzyło. Przejrzawszy, warsztaty różnych rzemieślników, nie znalazłem jednak uspokojenia tęsknoty serca. Wskutek tego odezwał się Wszędabył do Omamienia, mówiąc: „Widzę, ten człowiek nie usiedzi na miejscu; jak żywe srebro się zawsze rusza. Żadne mu się miejsce nie podoba, aby się do niego stale przywiązał. Ukażmy mu tedy świat obszerniejszy, zwłaszcza kupiecki, gdzie człowiek tam sam bez przerwy przechodzi, równie jak ptak, który na powietrzu lata“. — „Nie wzbraniam się,“ rzekłem „i tego spróbować“. — A tak ruszyliśmy.

Niebawem ujrzałem gromadę ludzi, co się okręcając na wszystkie strony rozmaite rzeczy jako to trzaski, proch, gnój po ziemi wyszukiwali, zbierali i do brzemion wiązali. Pytam się: „Co to jest?“ — Odpowiadają, że się na świat stroją. — Ja na to rzekę: „Dla czegoż nie bez takich rupieci? Łatwiej by wam było“. Oni mi na to: „Durniu niemądry! jakżeby jechali? To są ich skrzydła“. „Jak to skrzydła?“ rzekłem. „Prawdziwie skrzydła“, odpowiedział tłumacz. „To im dawa mądrość, przy dobrej myśli ich utrzymuje i daje paszport do każdego miejsca. Czy myślisz, że wolno się tułać po świecie oto tak, bezpłatnie? Z tych rzeczy oni mają wyżywienie, jedną sobie przyjaźń między ludźmi i mają, czego sami potrzebują“. Patrzę się bliżej, a oni tych brzemion uzbieranych i nawiązanych jak najwięcej mógli, kładą na jakieś narzędzia leżące na kołach, tam je śrubami mocno przywiązując. Przed te ciężary zapręgają bydło i nuż z nimi w drogę przez wierzchy i góry, doliny, wąwozy ciągnąc i sunąc naprzód

kroczyli. Wesoło im było przy tem przeważaniu i bardzo ten żywot im się podobał. Z początku i mnie się tak zdawało. Ale gdym ujrzał, jak jedni w błocie ugrząższy całkiem byli zwalani i wysileni, jak inni się silili i nadwreżali, ile od deszczu śniegu, słoty i zawieji ucierpieli, jak zimno, gorąco, wszelką niepogodę znosić musieli, jak na ich paszporty wszędzie czatowano, jak na granicach wszystkim im rzeczy z worów wysypano i przetrząsano, na ich targanie, gniewanie, dąsanie wcale nie zważając; gdym się przekonał, jak po ulicach podstępnie na nich często nastawano, tudzież jak ich dusza niby na szaniecach na niebezpieczeństwo narażona była, to do tych rzeczy wszelką chęć straciłem.

Opowiadano, że inny sposób latania po świecie jest wygodniejszy, a mianowicie płynienie po wodzie. Tu się człowiek nie wytrzęsie, nie uwala, nie uwiązgnie, tu od jednego końca świata na drugi jak strzała przeleci, a wszędzie znajdzie nieco nowego, czego świat nie widział ni o tem nie słyszał. A tak mię wiedli w krainy ziemi, gdzie nie przed sobą nie widzieliśmy jak niebo i wodę.

Tu mi rozkazali wstąpić do chateczki, która z samych desek była pozbijana. Ta nie stała na ziemi ani nie była podmurowana ani też podwalinami, słupami, lub podporami była utwierdzona, lecz stała na wodzie tam i sam się chwiejąc, iż było trzeba sobie rozważyć, jak do niej wstąpić. Ale gdy inni do niej wstępowali, poszedłem i ja, aby mię tehórzem nie okrzyczano. Powiadano mi, że to nasz powóz. Myślałem sobie, już pojedziemy, lub jak inni mówili, polecimy, a my spokojnie dzień jeden, drugi, trzeci,

dziesiąty na miejscu stoimy. Co to ma znaczyć“? pytam się ludzi; „przecież nam mówiono, że jak strzała z łuku tak i my z jednego do drugiego kraju polecimy, a my się z miejsca ruszyć nie możemy“. — Oni mi na to: „Aż ciągacze przyjdą“! I opowiadają, że mają ciągaczy, co ani gospody, ani stajni, ani obroku, ani ostrogi, ani bicza nie potrzebują. Tylko zaprzęgnąć i jechać dalej. Niech tylko poczekam, zaraz ich ujrzę. Między tem pokazują mi lejce, powrozy, uzdy, wagi, bierca, dyszel, naprawy, rozwory, kłonice, sochory różne, lecz wszystko to wcale inaczej wyglądało niż w furmańskim wozie. Był to zaiste powóz leżący, a to grzbieciem na wznak. Dyszle zrobione z dwóch wysokich jodeł sterczały od niego w górę w powietrze, a od ich wierzchołków biegły powrozy ku brzegom wozu, a narzędzie do kierowania było w tył, gdzie jeden jedyny tylko człowiek siedział, chlubiąc się, że wszystek ten statek w tę stronę skieruje, gdzie mu się podoba.

W tem wiatr zawionął. Czeladka nasza rzuca się w górę; biegną, skaczą, krzyczą, wyskać zaczynają. Jeden chwyta się tego, drugi owego. Niektórzy biegną po owych linach w górę i na dół jako wiewiórki, spuszczaają drągi, jakieś zwinięte płachty rozwijają, i coraz bardziej je rozciągają. Pytam, co to znaczy. Oni powiadają, że zaprzęgają. Patrząc, a oto te wielkie płachty się nadymają, że wyglądają jako stodoła. Oni mówili, że to nasze skrzydła. Wszystko nad nami zaczęło skrzypieć, pod nami woda zacznie się kołysać i pryskać wokoło, ani spostrzegłem, kiedy nam brzegi, ziemia i wszystko z oczu zniknęło. Ja na to wołam: „Gdzież to je-

steśmy? Cóż się z nami stanie“? Oni powiadają, że już lecimy. „A więc w imię Boże, lećmy już tędy“, odrzekłem i patrzę, jak szybko płyniemy, nie bez przyjemności, lecz też nie bez strachu. Wyszedłem przede drzwi, spojrzeć naokoło, ale mi się głowa trochę zawracała. Zstąpiłem na dno, strach mię ogarniał, gdym słyszał jak ściany wodne szumiały. A tu mimowolnie przyszło mi na myśl, czy nie jest przecie szaloną odwagą, wściekłym żywiołom wody i wiatru życie swe powierzyć i naumyślnie leżeć śmierci do gardła? Dzieli nas od niej przestrzeń nie większa niż na dwa palce, choćby jak najgrubszą było owa deska między człowiekiem i straszną przepaścią. Umieniwszy jednak, że strachu nie dam po sobie poznać, nie nie mówiłem.

Tu mię wyziewy jakieś surowe zaczęły zarażać; mózg i wnętrze wszystkie przejmując na podłogę mię rzucają. Ja się walę, jak inni do takiej jazdy nie przyzwyczajeni, krzyczę, rady sobie nie wiem; wszystko się we mnie rozplýwa i ze mnie się leje, tak że się nam zdało, iż jako ślimak na słońcu tak i my w tej wodzie się rozplýniemy. Zaczę więc narzekać na samego siebie i wodza mego, nie wierząc, byśmy żywi pozostali. Lecz u nich wszystkich znalazłem zamiast politowania tylko śmiech szydery. Z doświadczenia bowiem dobrze wiedzieli, czegom ja nie wiedział, że ten stan rzeczy nie potrwa dłużej niż kilka dni. Tak się też stało, a siła moja powoli wracała, a ja rozumiałem, że to wściekle morze mię w ten sposób tylko powitać chciało.

Ale cóż z tego? Przykrzejsze rzeczy niż te na nas przysły. Wiatr nas opuścił, skrzydła nam

opadły; na miejscu zostaliśmy stać, bez poruszenia ani się na włos nie mogąc ruszyć na żadną stronę. Ja się znowu trwożę, co to z nami będzie. „Do tych pustyń morskich dostaliśmy się; ach, Panie Boże, cóż to z nami będzie? Czy my też jeszcze ziemię żyjących kiedy ujrzymy? Ach ziemio droga, ty matko nasza, ziemio kochana, matko najdroższa, gdzieżeś się podziła? Rybom dał wodę, nam zaś dał ciebie Pan Bóg stwórca! Ryby się mieszkania swego trzymają ale my, nieszczęśni, swe opuściliśmy. Jeśli nam niebo na pomoc nie przyjdzie, to my w tej smutnej przepaści zginiemy“. Takimi smutnemi myślami się trapić duch mój nie przestawał, aż mię naraz okrzyk żeglarzy dochodzi. Wybiegłszy na pokład pytam, co to znaczy? Oni wołają, że wiatry idą. Ja patrzę, ale niczego nigdzie nie widzę. Oni jednak rozpinają żagle. I tak się też stało; zadały wiatry, pochwyciły okręt i ruszyły z miejsca, co nam wszystkim radość wielką sprawiło, tylko że wkrótce gorzkość na nas przysła.

Wiatry wzmagaly się tak okropnie, że nie tylko nami burza miotala, lecz także pod nami głębiny morza się poruszyły i serca nasze trwoga ogarniała. Morze się takimi wałami okryło, żeśmy raz byli wysoko na górze, a za chwilę znowu głęboko w dolinie, to w górę się wznosząc, to do głębi schodząc. Niekiedy nami rzuciło w grę, że się nam zdało, księżyc tuż nad głową; potem nas na dół do przepaści niósło. Raz się wydawało, że bałwan wody przeciwnie nam płynący albo też z boku na nas idący niechybnie do głębi morza nas zerwie, na miejscu zatopi; a jednak się łódka zawsze podniosła. Korabiem naszym zrobionym z desek na wszystkie stro-

ny wody miały, jeden wał drugiemu go podawając. Ztąd się łódź nasza chyliła tam sam, raz na jedną stronę, wkrótce na drugą; sterczała przodem wysoko w powietrze, za chwilę znów tył swój w górę wznosiła. Ze wszystkich stron na nas lały się wody wokoło pryskając wysoko w powietrze; my zaś nie mogliśmy ni stać ani leżeć, ale z boku na bok nami rzucano; w jednej chwili staliśmy na nogach, a w drugiej na głowie wały nas stawiały. Ztąd pochodziły zawroty głowy, i myśleliśmy, że wszystkie rzeczy się przewracają. Wzburzenie to trwało dzień i noc całą, ztąd można pojąć, jakieśmy trwogi i strachu doznali. „Ach“, myślę u siebie, „jakże ci ludzie, co są na świecie, mają przyczynę być pobożnymi, gdyż ani godziny życia nie są pewni“. Spoglądałam na tych, co są koło mnie, jak też pobożnie się zachowują; ale co widziałem zgrozą mnie przejęło. Jak w karczmie jedzą, piją i grają i sobie nawzajem słowem dokuczają, nieprzystojnie mówią, złorzeczą, bluźnią i wszelką sromotę wykonywują. Bardziej mnie te rzeczy w sercu zasmuciły, przeto napominać, prosić ich zacząłem, by nie zapomnieli, gdzie się znajdujemy, tudzież by bluźnierstwa zaniechawszy, do Boga wołali. Ale dałem sobie! Jedni się ze mnie szyderczo śmiali, drudzy się burzyli, trzeci sprzeciwiali, czwarcy do wody rzucić mię chcieli „Omamienie“ radził abym przecie milczał, nie zapominając, iż w obcym domu się znajdujemy gdzie jest najlepiej być głuchym i ślepym. — „Ach nie podobna, aby takie rzeczy, takie obyczaje na dobre wyszły“, powiadałam do nich. A oni znów w śmiech! Ja widząc taką ogromną rozpustę musiałem milczeć, bałem się bowiem pięści i gwałtu.

W tem się znów burza okropnie podnosi i straszne wichry nami miotają. Morze się burzy okropnie wzruszone, a woda i piany pod niebiosą biją. Wały morza nami jak piłką rzucają; głębiny się otwierają, chcąc nas w wnętrznościach swoich pochłonać; to znów wały w górę nas rzucają, wiatry nas biorą, kołem obracają, raz w tę raz w ową stronę rzucając, aż wszystko trzeszczało, jakby się łódź nasza na sto tysięcy kawałków rozbić i roprysnąć miała. Tu cały struchlałem i byłem jak martwy, nie widziałem jak śmierć niechybna. Nie mogąc się dłużej gwałtem wody oprzeć i bojąc się, byśmy o skały morza się nie rozbili lub też na mieliźnie piasku nie osiedli, zaczęli majtkowie skrzydła okrętu jak najspieszniej zwijać i jakieś haki żelazne, ogromne grubemi linami z okrętem złączone do morza zarzucać, mając nadzieję, że łódź na miejscu zdoła się zatrzymać, aż burza przeminie. Wszelako na próżno. Niektórych z majtków, biegnących po linach jak gąsienice wiatry porwawszy do morza rzuciły; tą samą siłą liny od kotwice poprzerywały, tak, że kotwice w morzu zatoneły. Łódź nasza więcej nie mając oparcia ani obrony jak trzaska prądem powodzi rzucana zaczęła się chylić. Zuchem swawolnym źle się zrobiło, serce tracili, bledli i drżeli a co począć mają, całkiem nie wiedzieli. Teraz dopiero na Pana Boga sobie wspomnieli, do modlitwy się zachęcali i ręce składali. Wtem to łódź nasza jakby na dnie morza nagle osiadła, o skały morskie gwałtem uderzyła i trzeszcząc pękła. Rozpadlinami ciśnie się woda i zalewa okręt. Wydano rozkaz, by młodzi i starzy, jak kto tylko może, czerpali ją i wylewali lecz wszystko na próżno. Stru-

mieniem do wnętrza okrętu się lała, i nas zatapiała. Wśród załogi lament, płacz i narzekanie nieopisane. Nikt nic przed sobą nie widzi innego jak śmierć niechybną. Ponieważ każdemu życie jest miłem, chwytali się każdy, co dosięgnąć mógł, ten kawałek drzewa, ten deski odbitej, ten jakiego drąga, broniąc się śmierci w bałwanach morza i mając nadzieję, że się przecież jakoś do brzegu dobijają. Gdy się łódź wkońcu całkiem rozbiła i wszyscy zgola wpadliśmy w wodę, tedy się i ja czegoś uchwyciłem i z kilkoma ludźmi do brzegu dobiełem. Innych zaś wszystkich ta straszliwa przepaść w sobie pochłoneła. Gdym z przerażenia i trwogi nieco do siebie przyszedł, zacząłem swoim przywódcom wymawiać, że mię na taką klęskę narazili. Oni mi na to, że to nic nie szkodzi, gdyśmy tylko ocaleni wyszli. „Więc bądź dobrej myśli“! — „Tobie łatwo mówić o dobrej myśli; do najdalszej śmierci nie dam się nigdy na taką rzecz wywieść“!

Patrząc koło siebie spostrzegam, że ci, co zemną razem się ocalili, znowu wracając na okręt siadają. „Ależ do licha“, rzekłem z zadziwieniem, „wy zuchwali ludzie! Czy się na nowo na śmierć narażacie? Ja za nic w świecie tam nie poszedłbym“. Tłumacz mój na to: „Nie każdy człowiek jest tak rozpieszczony. Piękną, miłą druhu, jest rzeczą bogactwo i różne towary. Aby je zyskać, musi człowiek nie raz nawet życie swoje na klęski narazić!“ — Czy to ja bydlę, abym dla ciała i tylko dla ciała życie ofiarował? Ba nawet bydlę tego nie czyni. Człowiek ma w sobie coś przedniejszego, mianowicie duszę; dla niej powinien pociechy szukać i zysku wiecznego“.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

**Pielgrzym przypatruje się stanowi ludzi uczonych,
najprzód w ogóle.**

Rzecz mi przewodnik: „Już ja teraz myśli twoje rozumiem; wiem, dokąd cię ciągną. Między uczonych, między uczonych, to twoja ponęta; tam życie łatwiejsze i spokojniejsze, a po myśli twojej użyteczniejsze“. — „Ba, istotnie tak“, powiada tłumacz. „Cóż może bowiem być rozkoszniejszego, niż rozlicznych badać rzeczy szlachetniejszych, niemi się zajmując, takowych dochodząc. Przez to się człowiek śmiertelny stanie podobnym Bogu nieśmiertelnemu wszystkowiedzącemu, bo pozna i zbada, co jest na niebie, na ziemi, w przepaściach. Wszystkiego dochodzi i wybadać pragnie, choć tej znajomości, co jest szczerą prawdą, w zupełnej mierze nigdy nie dostąpi“. „A więc mię tam wiedźcie“, rzekłem do mych wodzów. „Przecżże odwłaczacie“?

Przyszlśmy do bramy, nazywali ją dyscypliną. Ta była długa, wązka i ciemna. W niej stali stróże ze zbroją w ręku a każdy człowiek, chcący się dostać w ulicę uczonych, musiał się najprzód u nich opowiedzieć i o przepust prosić. Widziałem, zastępy ludzi szczególnie młodych przychodziły i zaraz ich brano na egzamina a to dosyć ostre. Pierwszy egzamin przy każdym z nich był, jaki ma worek, jaką głowę, jaki mózg — o czem się ze smarków przekonywali — jaką zadnicę i jaką skórę z sobą przynosi. Jeśli głowa była ze stali, a mózg w niej z żywego srebra, zadek z ołowiu, skóra ze żelaza, a worek ze złota, to go pochwaliwszy chętnie dalej

wiedli. Gdy kto tych rzeczy pięciorga nie miał, to go wracali lub na niepewne tylko przyjęli. Zdumiałem się nad tem i rzekłem u siebie: „Co im też na tych pięciorga kruszczach tyle zależy, że się tak pilnie o nie dowiadują“? — „Bardzo dużo“, odpowiada tłumacz. „Gdy kto nie ma głowy ze stali“, to mu prędko pęknie; nie ma w niej ciekącego mózgu, nie będzie miał z niego zwierciadła; nie ma skóry z blachy, nie zniesie kształcenia, nie ma siedzy z ołowiu, nie nie wysiedzi, wszystko mu się rozproszy; bez worka ze złotem nie będzie miał czasu do nauk, ani znajdzie majstrów żywych i umarłych. Czy myślisz, że rzeczy tak wielkie i ważne za darmo przyjdą“? Zrozumiałem tedy, do czego słowa jego zmierzają; chodzi o stan zdrowia zdolność umysłową, chodzi o wytrwałość, cierpliwość i wydatki znaczne. Rzekłem więc u siebie: „Nie z każdego drzewa będzie świątynia“.

Wszedłszy do bramy widzimy co się dzieje. Każdy ze stróżów bierze jednego lub więcej uczniów z sobą do oprawy i nim się zajmuje, do uszy mu dmucha, oczy przeciera, nos i nozdrza przedmucha, język wyciąga i nieco obcina, ręce i palce składa, rozkłada, a nie wiem nawet, co więcej wyrabia. Niektórzy dziury do głowy wiercą i coś wlewają. Tłumacz mój widząc moje zdumienie, rzekł: „Ręce i język, oczy, uszy i mózg i wszystkie zmysły zewnętrzne i wewnętrzne muszą być inne niż u prostaczków. Dlatego się tutaj muszą przekształcić, co się bez pracy i bez oporu wykonać nie może“. Wtem spojrzawszy widzę, jak dużo biedni za takie przekształtowanie dawać musieli. Nie tylko worka musieli nadstawiać, lecz tem więcej skóry. Pięść, wskazówki, prety, różgi na licach, na twarzy, na grzbiecie, na

zadkach dały się odczuć, aż się krew lała, pręgi się pokazywały, szramy i sińce się odbijały. Nie brakło mozołu i utrapienia. Niektórzy młodzieńcy, widząc te rzeczy, nim sami jeszcze co oberwali, na bramę zyzem patrząc się cofali, inni się oprawcom z rąk wydzierając do domu zmykali. Mniejsza ich liczba przetrwawszy te próby, dostała się na przestrzeństwo, w naukach pozostała, a między tymi także ja byłem. Mając do stanu uczonych należeć, przeszedłem te wszystkie przeobrażenia, choć nie bez trudności i bez utrapienia.

Wychodząc z bramy, widzę, każdemu który takie oszlifowanie przeszedł, jakieś znamię dadzą; zawsze go po niem poznano, że między uczonych ludzi należy, mianowicie: kałamarz za pas, pióro za ucho, a do rąk księgę czystego papieru, by do niej pilnie nauki swe zbierał. Ja też te rzeczy wszystkie otrzymałem. Rzecz mi Wszystkowiedz: „Otóż mamy cztery rozstajne drogi; one prowadzą na filozofię, na medycynę, na nauki prawa, na teologię. Gdzież najprzód pójdziemy“? Jak ty sam uznajesz“, odpowiedziałem — On rzecze na to: „Chodźmy najprzód na plac, gdzie się wszyscy schodzą, aby się na nich razem popatrzeć; potem na różne wykłady pójdziemy“.

Zawiódł mię na rynek, a tu była chmara studentów, mistrzów, doktorów, księży, młodzieńców, starców! Z tych niektórzy gromadami stali, współ rozmawiając i dysputując, Inni do kątów się uciśkali, aby nie byli na oczach ludzi. Byli niektórzy, com dobrze poznał, tylko powiedzieć się nie odważyłem, byli, co mieli oczy, ale języka nie mieli. Inni zaś oczu nie mieli, niektórzy zaś tylko uszy mieli, lecz oczu i języka nie mieli. Przekonałem się tedy,

że i między uczonymi rozmaite niedostatki się znajdują. Wszyscy, jak widziałem, zkadś wychodzili i znów tam wracali, jak pszczoły z ula wychodzą i wchodzą do ula; nalegałem tedy, byśmy też tam poszli.

Wszedłszy na to miejsce, widzę, tu sień wielka, ani jej końca dostrzedz nie mogłem. W niej po wszystkich stronach pełno było szaf, szkatulek, przegród, żeby ich ani na 100.000 wozów nie zabrał, a każda miała swój napis i tytuł. Rzekłem ze zdumieniem: „Do jakiej apteki dostaliśmy się tu“? — „Do takiej apteki“, rzecze przewodnik „gdzie są lekarstwa na rany umysłu. Właściwie imię tych, oto, zbiorów jest biblioteka. Patrz tylko na te składy mądrości, końca im nie widać“! Patrząc tedy widzę szeregi uczonych, którzy się przechadzając do tych szaf podchodzili. Niektórzy z nich najpiękniejsze i najdelikatniejsze części wybierali, po kawałku wyrwali, do ust wkładali i powolnie przeżuwać zaczęli. Przystąpiwszy do jednego z nich, pytam się, co to robi? Odpowiedział, mówiąc: „Ja się dobrze mam“. „Jakże to smakuje“? zapytałem. — „Péki się w ustach przeżuwa“, rzecze zapytany, „to czuję gorzkość albo kwaśność, potem się to w słodkość obraca“. — „Do czego to służy“? pytałem. — Odpowiedział na to: Łatwiejszą jest dla mnie nosić to w sobie i jestem przytem daleko pewniejszy. A co do pożytku, czy go nie widzisz“? Przypatrzwszy się lepiej, widzę dokładnie, to człowiek tłusty, doskonałej tuszy i pięknych kolorów; oczy miał jasne jak świece płonące, mowa wyraźna i cała postać jego wesół. Rzekł tłumacz do mnie: „To ludzie weseli“!

Oglądam się w koło i widzę, niektórzy bardzo łakotliwie z rzeczami zachodzą. Co im do rąk przy-

szło, wszystko w siebie pchali. Patrząc na nich pilnie, ale nie widzę, żeby na się ciała albo kolorów nabierali, tylko brzuch odęty i rozbity mają. Co do siebie wzięli, wszystko odeszło górą i dołem i najmniejszego pożytku nie dało. Niektórzy z takich na zawrót głowy cierpieli, zmysły tracili, inni znowu bledli i umierali. Inni to widząc na nich wskazywali i opowiadali, jak jest niebezpieczną zajmować się księgami, tak bowiem one szkatułki nazywali. Nauk tych do wnętrzości nie przyjmowali, lecz z przodu i z tyłu nawiesiwszy na się rozlicznych worków, do tych te szkatułki kładli i nosili. Widziałem na nich różne napisy, jako to: Wokabularz, Słownik, Leksikon, Herbaryum, Konkordancja i t. p. Gdy kto chciał co pisać albo przemówić, to te nauki z kieszeni wydobywał, do ust je potem i do pióra wkładał. Widząc to rzekłem: „Dziwna rzecz, ci ludzie w kieszeni mądrość z sobą noszą“. — Tłumacz na to odpowiada: To są podpory pamięci człowieka. Czyś o tem nie słyszał“? — Słyszałem, jak niektórzy ten sposób chwalili, podnosząc, że tacy wynoszą z sobą rzeczy oczyszczone i ustalone. Może też tak być; lecz ja tu inną niedogodność widzę. W mej obecności się wydarzyło, że niektórzy szkatułki swe roztrzęśli, a niektórym, gdy je od siebie odłożyli, ogień takowe popalił. Ach, ileż to było lamentowania, łamania rąk i narzekania! Po takiej chwili nikt nie chciał nie pisać, dysputować, kazać, owszem zwięsiwszy głowę chodził całkiem nachylony i rumienił się; prośbami, pieniędzmi szukał sobie nabyć na nowo tych rzeczy, u kogo wiedział, że się znajdują. Którzy naukę w głowie składali, ci się takich przygód bardzo nie lękali.

Miedzy tem znowu spostrzegłem innych, którzy szkatulek do kieszeni nie weiskali, lecz je gdzieś do pokoju nieśli. Wszedłem za nimi i widzę, jak piękne okładki na te rzeczy robią, rozlicznemi farbami, ba nawet srebrem i złotem je zdobią, do przegród stawiają, znowu wydobywając im się przypatrują, rozkładają, zawierają, przystępują, odstepują, sobie i innym z upodobaniem, pokazując, jak się to wszystko pięknie przedstawia, zwłaszcza na zewnątrz. Niektórzy czasem na tytuły książek się popatrzyli, aby ich nazwę zapamiętali. Pytam się: „Co to tam oni takiego robią“? Tłumacz odpowiada: „Miły przyjacielu! Piękna to sprawa, piękną posiadać bibliotekę“. — „A jeżeli się jej nie używa“? odparłem na to. — „Przecie wszystkich ludzi, co biblioteki mają, za ludzi uczonych w świecie uważają“, odpowiedział tłumacz. „Gdy kto ma kleszcze i młoty u siebie, tego też ludzie kowalem zowią, choćby tych narzędzi użyć nie umiał“, pomyślałem u siebie, lecz powiedzieć tego się nie odważyłem, abym czego nie oberwał.

Gdyśmy na sień weszli, spostrzegłem od razu, że tych aptekarskich naczyń ze wszystkich stron coraz więcej przybywa. Patrząc tedy, skąd oni je noszą, i widzę przed sobą jakąś zasłonę. Wstąpiłem za nią i widzę tokarzy całą gromadę, jak jeden nad drugiego pilnie i zręcznie z drzewa, z kości, kamienia i rozmaitych rzeczy takie szkatułki wyrabiają, potem je maścią albo żywicą napełniają, i dla powszechnego użytku dają. Tłumacz mi powiada: Chwały i wszelkiego uwielbienia godni są ci ludzie, albowiem najpożyteczniejszymi rzeczami pokoleniu swemu służą. Dla pomnożenia mądrości i umiejętności żadnego trudu ni wysilenia

nie żałując przez znakomite swoje zdolności z innymi wiernie wespół pracują“ Powstała w mem sercu niemała chętka przypatrzeć się, z czego i jak to oni robią, co mój przewodnik darem mądrości człowieka nazwał. Ujrzałem jednego albo może dwóch, którzy wonne korzonki i zioła zbierali, takowe krajali, tarli, gotowali, dęstyłowali, i tym sposobem przyjemne balsamy odwary, syropy i inne lekarstwa bardzo pożyteczne wyrabiali. Z przeciwniej strony widziałem innych, którzy z ich naczyń maści ubierali, i do swych własnych naczyń dawali. A takich było na sta. Ja patrząc na nich zrobiłem uwagę, mówiąc: Ci ludzie tylko wodę przelewają“. Na to przewodnik odpowiada, mówiąc: „Takim sposobem wiedza się mnoży. Bo czy nie jest tak, że ta sama rzecz tym to sposobem, ale też innym wykonać się da“? — „Ale także niszczyć“, odrzekłem z gniewem; „widziałem wyraźnie, że tu się fałsz pełni. Niektóry porwawszy obcą szkatułkę,abrał z niej maści i do swojej włożył, rozdzielił jak umiał, dolał jakichś pomyj; inny tym sposobem dolał mieszaniny, trochę prochu, śmieci dosypawszy, potrząsł i zmieszał, a medycyna była sporządzoną; ludzie mogli myśleć, że to nowy wyrób. Na słoikach były napisy szumne i nadzwyczajne, aniby człowiek na myśl nie przyszedł, żeby tak bezwstydnie którykolwiek znachor swój towar zachwalał. Dziwnem mi było i gniew mię porywał, gdym widział, że nikt wewnętrznych przyczyn ni stanu choroby nie bada, lecz jedno za drugim bez wszelkiej różnicy biorą, zalecają. A jeśli którzy jaki taki wybór w lekarstwach robili, to tylko na kształt i napis słoika patrzali. Tu porozumiałem, co jest przyczyną, że ich tak

mało do zdrowia powraca, bo im: kto więcej do siebie tego lekarstwa wlewał, tem więcej się dusił, tem więcej dławił, bladł, chwiał się, upadał. Widziałem jak wielką też była liczba tych miłych naczyń, którym się nigdy do używania przez ludzi przyjść nie dostało; tylko robactwu i molom, pająkom i muchom, prochowi i pleśni na pokarm służyły, a w końcu z takimi sponiewieranemi skrzyźnami do kątów ostatnich odrzucone były.

Tego się bojąc niektórzy, skoro tylko słoik swój uzupełnili, pilnie się sami do roboty brali; zaraz zaczęli biegać po sąsiadach prosząc ich o przedmowy, wiersze i napisy dla tych swoich prac; szukali patronów, którzyby dla tych nowych wyrobów pożyczyli tak imienia swego jak worka pieniędzy. Tytuły, napisy najozdobniejsze sobie wybierali, rozliczne figury, kwieciste obrazy jak najosobliwsze do nich dawali potem swe utwory sami do ludzi nieśli, zachwalali i prawie na gwałt do ich rąk wciskali. Widziałem jednak, że i te zabiegi wkońcu nie pomogły, bo tych wyrobów za dużo było. Żał mi się zrobiło, gdym widział, jako niejeden, co w domu spokojne mógł prowadzić życie, bez wszelkiej potrzeby i bez pożytku puścił się w szance i na własną szkodę i na szkodę innych imię swe naraził na szyderstwo, pośmiejch w takie jarmarczne krzyki się wdawając. Ale cóż, kiedy o tem nadmieniwszy nienawiść sobie tylko zjednałem, jakbym publicz-nemu dobru przeszkadzał! Nie mówię już o tem, jak niektórzy z rzeczy wprost jadowitych konfekty robili. Mnogo się rzeczy zdrowiu szkodliwych jako lekarstwo ludziom sprzedawało. Przy-

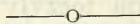
kro mi było to hultajstwo znosić, ale nie było, ktoby to naprawił.

Teraz więc znowu wejdziemy na ten plac, gdzie są uczeni. Ach, co tam zwały, poróżnienia, rwaczki, jako się wszyscy na plac zbiegają! Rządkci to człowiek, coby się z swym bliźnim nie rwał, nie szarpał. Nietylko młodzi na siebie nastawali, toby się dało niedojrzałością wieku wytłumaczyć, lecz także starcy na się wpadali. Im kto uczeńszym sam siebie mienił albo przez innych był uważany, tem więcej siebie od innych odróżniał, tudzież wokoło siebie szermował, bił, rzucał, strzelał, aż zgrozą było na te rzeczy patrzeć. Oni zaś swą chwałę w tem pokładali, z tego się chlubili. Widząc to rzekłem: Ale dla Boga, cóż to ma znaczyć? Ja sobie myślałem, jak mi ślubowano, że stan ten pewnie jest najspokojniejszy; a ja tu tyle różnic znajduję“. Tłumacz odpowiedział: „Synu mój, ty temu wcale nie rozumiesz; oni się takim sposobem ostrzą“. — „Jako się ostrzą?“ odparłem na to; „przecież ja krew widzę i rany i gniew i zbrojęką jednych do drugich nienawiść! Coś podobnego wśród rzemieślników w żadnem powołaniu nigdzie nie znalazłem“. Bez pochyby tak jest“, odparł mi na to; „tamtych umiejętność jest rzemieślnicza, jest niewolnicza, a tych wyzwolona. Co owym wcale nie jest dozwolone, aniby też tego nikt się nie dopuścił, to tym jest wolno; im wszelka swoboda jest zastrzeżona“. — „Jak można te rzeczy nazwać porządkiem, ja nie rozumiem“ odparłem na to. Zbroja ich na pozór straszna nie była. Nie mieli szabli, kopij ni mieczy; nimi się nie bodli i nie rąbali; zbroją ich były nahażki rzemienie, które nie w rękę, lecz w ustach trzy-

mali. Strzelby ich były z piasku i otrocin; nabijali je prochem rozpuszczonym w wodzie, kule z papieru były zrobione, niemi nawzajem na siebie strzelali. „Na zewnątrz rzecz wcale straszną nie wygląda“, rzekłem u siebie; ale gdym widział, jak każdy choćby lekko trafiony, zrywał się, krzyczał, zwijał się, uciekał, łatwo zrozumiałem, że to nie żart, ale bój prawdziwy. Na niektórych z nich wielu nacierało, aż koło uszu miecze dzwoniły, a kule z papieru jako gęsty grad wkoło leciały. Kto się statecznie bronił od napaści, zdołał się obronić i napastniki od siebie odpędził; niejeden znowu ranami okryty padał zwyciężony. A widziałem tutaj okrutność nie małą, gdzieindziej nieznana, że zwyciężonym nawet i umarłym nie przebaczano, przeciwnie tem więcej bez wszelkiej litości bito i rąbano, albowiem nad tymi, co się już więcej bronić nie mogli, największą odwagę okazywano. Niektórzy więcej udowodnili umiarkowania, ale zagadek i zarozumiałości próżni nie byli. Albowiem ledwie że kto coś wyrzekł, natychmiast inny naprzeciw wystąpił i z nim się spierał; czy śnieg jest biały, albo czy czarny, czy ogień jest ciepły albo czy zimny, o takie pytania toczyły się zwady.

Wtem się niektórzy w te spory włożyli i do pokoju zachęcać zaczęli, co dla mnie wielką radością było. Powstała też powieść, że wszystkie te spory mają się pogodzić; chodziło o to, kto to pojednanie do skutku przywiedzie? Odpowiedziano, że za pozwoleniem Królowej Mądrości ze wszystkich stanów najrozsądniejszych ludzi wybiorą, a ci będą mieli moc, by wszystkie strony wio-

dące spory dokładnie przesłuchali różnicę myśli wyraźnie stwierdzili, a co uznają za najsprawiedliwsze, to jako wyrok ogłosili. Wielu się zgarnęło, co mieli i chcieli zostać sędziami; zgarnęło się ludzi mnóstwo bardzo wielkie, szczególnie takich co sami mieli jakieś rozterki i po swej woli je załatwić chcieli. Między nimi byli Aristoteles z Platonem, Cycero z Salustem, Szkot z Aquinatem, Kopernik z Ptolomeuszem, Hus, Luter i inni z papieżem i jego Jezuitami i wielu innych uczonych bez liczby. Sędziowie żądali, by im swe spory, dowody i zbicia w najściślejszej formie na piśmie podali. Oni natomiast takie gromady książek przedłożyli że do ich przejrzania sześć tysięcy lat ledwie wystarczyło. Żądali także, aby na razie te ich wywody pod obradę wzięto, i dla głębszego określenia rzeczy zupełną wolność mowy zapewniono. Zaczęli tedy zaglądać w te księgi, a kto gdzie zajrzał, tam się tak upoił, iż autora swego silnie zastępował. Między sędziami wszczęły się rozterki, gdyż jeden tego, drugi innego w obronę brali. Nie więc nie wskórawszy musieli się rozejść, a uczeni znowu spory swe podjęli, czego mi do płaczu serdecznie żal było.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Pielgrzym przychodzi między filozofy.

Rzecz do mnie tłumacz: „A tak cię teraz między samych filozofów zawiodę. Zadaniem tychże jest szukać środków, jakby niedostatkom ludz-

kim zaradzić, tudzież wykazywać, w czem prawdziwa mądrość życia zależy. Są to ludzie, którzy prawdę każdej rzeczy znają; bez ich wiedzy ani się na niebie nic nie stanie, ani też czego przepaść nie zakryje. Oni życie ludzkie do cnoty spsobią i uszlachetniają, oni swe światło na ziemi obce i na swe własne rozlewają, oni Pana Boga przyjacielem mają, mądrością swoją tajemnicę Jego ściśle dochodząc.“ — „A więc chodźmy“, rzekłem, „chodźmy do nich, proszę, a to jak najprędzej“! Lecz gdy mię tam zawiódł, a ja cały szereg starców ujrzałem i dziwne jakieś dziecinne rzeczy spostrzegłem, aż się przeraziłem. Bijon cicho siedział, Anacharsis się przechadzał, Thales latał, Arystoteles dysputował, Hesiodus orał, Plato w powietrzu za myślami gonił, Pythagoras milezał, Epimenides spał, Archimedes ziemię wymierzał. Solon prawa, a Galenus recepty spisywał, Euklides cień mierzył, Kleobulos przyszłych rzeczy dochodził, Periander obowiązki określał, Pittakus walczył, Bias zebrał i siedząc zadumany przed kupą złota ubóstwo sławił, Sokrates każdemu o sobie mówił, że nic nie umie, Xenophon przeciwnie każdego wszystkich rzeczy wyuczyć ślubował; Diogenes dobywał się z beczki i wszystkich mimo idących ganił, Timon wszystkim złorzeczył, Demokritus się ze wszystkiego śmiał, Keraklitus przeciwnie płakał, Zenon pościł, Epikur biesiadował, Anaxarchus mówił, że tego wszystkiego nie ma, to się nam tylko coś tak wydaje. Innych pomniejszych mędrców było dużo, a każdy wśród nich jakąś osobliwszą sprawę wykonywał, tylko żem sobie tego nie spamiętał, ani spamiętać nie miał ochoty. Patrząc na tych ludzi, rzekłem ze zdumie-

niem: „To to są ci mędrycy, ta światłość świata? Ja się innych rzeczy od nich spodziewałem. Ci ludzie są jako pijacy w karczmie, każdy z nich wyje, a każdy inaczej“. Rzecze do mnie tłumacz: „Ty głupi durniu; ty tym tajemnicom nie rozumiesz!“ Ja słysząc, że to są tajemnice, zaczynam o nich gorliwie rozmyślać, a tłumacz mi je wyklada i objaśnia. W tem przystąpił do mnie jakiś mężczyzna w stroju filozofa, a był to Paweł pochodzący z Tarsu, i tak mi szepnął do ucha, mówiąc: „Jeżeli się kto sobie zda być mądrym na tym świecie, niech się stanie głupim, aby się stał mądrym. Albowiem mądrość tego świata głupstwem jest u Boga. Albowiem napisano jest: Pan zna myśli mądrych, iż są marnością“. 1. Kor. 3, 18—20. Z tego widziałem, że co oczy me widzą, i uszy me słyszą, jest jedno, to samo, przeto ochotnie na tem przestaję. A tak więc rzekłem: Pójdźmy gdzieindziej“. Ale mój tłumacz do błaznów mi nadał, że mając sposobność od mędrców świata czegoś się nauczyć, od nich uciekam. Ale ja jednak odszedłem w milczeniu.

Tak idąc przyszliśmy na jakąś salę, gdzie było pełno ludzi z rysikami, młodych i starych, kreślących litery, kreski i kropki. Gdy jeden inaczej napisał jak drugi, albo wymawiał nieco odmiennie, to się zaraz z siebie naśmiewali i z sobą wadzili. Potem po ścianach rozwieszali słowa i o nich gadali, jako które do którego przyjdzie, i w rozliczny sposób takowe składali, rozkładali, i znów przedstawiali. Ja się temu przypatruję, lecz w tem nic nie widzę, aż w końcu rzekłem: To są zabawki jako u dzieci. Chodźmy gdzieindziej“.

Weszliśmy do innej sieni. Byli tam retorycy.

Stało dużo ludzi z małymi pendzlami; rozmawiali z sobą, jakby słowa, czy to napisane czy z ust wypuszczone na zielono, czerwono, czarno, białe, lub jak kto zechce namalować można. Zapytałem ich, na co by to było? Odpowiedziano: „By się słuchającym tak albo owak mózg zafarbował“.

Czy się tego różu“ — pytam się dalej — „używa na różowanie prawdy, czy kłamstwa?“ —

Co przyjdzie!“ — odrzekł. — A więc tu tyle fałszu i marności, jak prawdy i pożytku“ — odpowiedziałem i poszliśmy dalej.

Wstupujemy indziej, pomiędzy poetów. Stał tu zastęp ludzi młodych junaków, a ci na wążkach ważyli zgłoski i długością palca je wymierzali, przytem się radując i podskakując. Dziwię się zatem, co to oni robią. Tłumacz odpowiada: „Ze wszystkich nauk, które z literami mają do czynienia, niema tak wesołej i rzemieślniczej, jak ta!“ „Czemże ona jest“? — zapytałem znowu. Co się prostem ułożeniem słów wykonać nie może, to się wykona ich ufałdowaniem“ — odpowiedział na to. Widząc tedy, że ci co się takiego fałdowania wyrazów i słów uczą, do jakichś tam książek pilnie zaglądają, więc i ja spojrzałem i rozliczne dziwne tytuły spostrzegłem. Były to fraszki, bajki, umizgania i wszelka lubieżność, a rzeczy te jakoś całą mi sprawę wprost obrzydziły. Spostrzegłem także, że kto tym mierzycielom zgłosek dobrze pochlebiał, tego swą nauką wielce wychwalali; kto zaś tej woli im nie uczynił na tego różnemi uszczepkami rzucali, tak że tej nauki tylko na pochlebstwo lub na dokuczanie ludziom używali. Tak się przekonałem, że to są ludzie wszechznający zwady i prędko od nich dalej uciekałem.

Idąc, przyszedliśmy do innego domu, tam wyrabiali i sprzedawali Perspicilla. Pytam się, co to znaczy? Odpowiedzieli, że to są „pojęcia wyższego rodzaju“. Kto je ma, ten wszystko widzi, nie tylko po wierzchu, lecz do gruntu rzeczy, osobliwie może jeden drugiemu zajrzeć aż do mózgu i w rozumie jego się rozpatrywać. Dużo szło ludzi po te okulary, aby je kupili; majstrowie zaś pokazywali, jak je na nos wsuwać, a gdzie potrzeba, skracać należy. Do wyrabiania tych okularów byli majstrowie osobno do tego powołani, warsztaty swoje po kątach mieli. Nie wyrabiali tych okularów według jednej miary. Jeden robił wielkie, inny zaś małe, jeden okrągłe, drugi graniaste; każdy swój towar zachwalał i kupujących do siebie wabił; kłócili się z sobą bez pogodzenia i różne klątwy na siebie rzucali. Niektórzy od każdego mistrza okulary kupił i wszystkie sobie na nos wkładali. To uczyniwszy, niektórzy mówili, że jednak nie mogą tak głęboko widzieć; inni twierdzili, że widzą poza mózg nawet, **wszystkie** rozumy sobie pokazując. Lecz z tych ostatnich widziałem kilku, którzy naprzód krok uczyniwszy, przez kamienie jak kłody na ziemię padali. Takowych bowiem — jak powiedziałem — wszędy pełno było. Jakże to być może — pytałem się wódkę — „że tym zawadom nie idą z drogi, gdy przez okulary przecie wszystko widzą?“ — Odpowiedziano, nie okulary są temu winne, ale ci ludzie, co ich używać dobrze nie umieją. Majstrowie atoli opowiadali, że nie wystarczy mieć okulary dyalektyki, trzeba wzrok oczyścić jasnym kołyrium z fizyki i matematyki. Radzili tedy na inne wykłady nauk się udać i wzrok poprawić. Więc i my

chodźmy“ — rzekłem do wodza, lecz nie otrzymałem na to pozwolenia, aż wskutek pobudki mego przewodnika wyjednałem sobie kilka okularów i na czoły dałem. Zdało mi się, prawda, że coś więcej widzę; niektóra rzecz w rozlicznem świetle oglądać się dała. Lecz nie spoczałem ale nalegałem, byśmy dalej poszli, bo tego kolyrium, o którym mówiono, koniecznie próbować postanowiłem.

Tak więc poszliśmy. Zaprowadzili mię na jakiś plac, w pośród którego ujrzałem drzewo bardzo rozłożyste, na niem dużo liścia i owocu było wszelkiego rodzaju. Nazywali je Naturą. Naokoło stało mnóstwo filozofów, patrzali na nie, ukazując sobie liście i owoce i opowiadając, jak się co nazywa. I rzekłem, mówiąc: „Ci słyszę, uczą się te rzeczy mianować, lecz żeby tajemnic natury dościgli, jeszcze nie widzę“. Tłumacz mój rzecze: Na to nie każdego stać; lecz patrz na tych tam“. Tu widzę niektórych, jak gałązki łamią liście i owoce roz-taczają, a przyszedłszy na orzech, do zębów go biorą i tak mocno gryzą, aż zęby trzeszczały. Oni mówili że łupiny trzeszczą; te przebierając chlubili się że jądro znaleźli; potajemnie takowe jedni drugim, lecz tylko niewidomym pokazywali. Ja pilnie pomiędzy nimi się rozpatrywując, dokładnie widziałem, że tylko zewnętrzną łupinę i korę mieli rozmiażdżoną, ale najtwardsza skorupa, w której jądro było ukryte, jeszcze była cała. Widząc takie próżne chlubienie i daremne wielkie wysilenie, bo niektórzy sobie oczy wypatrzyli i zęby wylamali. nalegałem na to, abyśmy szli dalej.

Wstąpiliśmy do pewnej sieni; byli tam filozofowie mając przed sobą krowy, osły, wilki, węże

i zwierzęta wszelkiego rodzaju; dalej mieli drzewo, kamienie, wodę, ogień, obłoki, gwiazdy i planety, ba nawet anioły. Dysputowali pomiędzy sobą i rozmyślali, że gdyby wszystkim onym stworzeniom odjąć można to, czem się od innych stworzeń odróżniają, toby potem wszystkie były podobne do siebie. Zwlekali tedy z nich nasamprzód ich kształt, dalej materję, a na końcu wszystkie ich właściwości, aż tylko gołe istnienie zostało. Tu między sobą dysputowali, czy wszystkie te rzeczy są teraz jedno, czy wszystkie są dobre, a czy są wszystkie, czem się być wydadzą, i mnóstwo podobnych pytań podnosili. Niektórzy tych rzeczy pilnie badając, zaczęli się dziwić i wielce podnosić, jak dowiecip ludzki tak wysoko wyszedł, że wszelką bytność potrafi prześcignąć, tudzież cielesność wszech cielesnych rzeczy potrafi odsunąć. Doszło do tego, że ja sam zacząłem w takich subtelnościach mieć upodobanie i w nich się kochać. Wtem niektoś wystąpił, wołając, abyśmy tego zaniechali, bo to wszystko tylko marne fantazyje. Tak z nich niektórych za sobą porwał. Inni się rozgniewali, heretykami ich okrzyczeli, gdyż od najwyższych nauk filozoficznych odrywać się chcą. Powstała wrzawa, której nie chcąc słuchać, dalej odszedłem.

Idąc ztąd, znowu na jakichś ludzi trafiamy, którzy pełną sienią cyfr mając, w nich przebierali. Jedni brali z gromady i rozstawiali je inni je znowu przygarściem zgarniali i na kupę kładli, inni z tej kupy część ubierając, z osobna sypali; inni te działy znowu do gromady znaszali inni to dzielili i roznaszali, ażem się takowej robocie zdziwił. Oni wykładali, jak w całej filozofii niema nauki i wiedzy pewniejszej od tej; tu bowiem nie nadbyć nie

może. „Do czegoż ta nauka?“ — zapytałem. Oni zdziwieni nad mojem głupstwem, jeden przed drugim dziwy mi o tem wypowiadać zaczęli. Jeden powiada że mi jest w stanie wyraźnie określić, ile w jednym stadzie dzikich gęsi leci, choć ich nie liczył; drugi mi mówi, że może obliczyć w ilu godzinach cysterna wyciecze, jeżeli rurkami pięcioma cieknie. Trzeci mi powie, ile we worku groszy posiadam choć ich nie obejrzy; aż się jeden znalazł, który piasek w morzu gotów był obliczyć i zaraz o tem księgę napisał. (Archimedes). Inny znowu idąc za tegóż przykładem, chciał obliczyć pyłek, który w słońcu lata. Dziwiłem się nad tem, ale mi oni dla zrozumienia reguły swoje wytłumaczyli. które ja po części także pojąłem. Lecz gdy mnie do skrytszej nauki swej wiedli i same mi kluki haki pokazywali, to mi się w głowie zaczęło przewracać, tak że prosiłem, by mię ztąd wywiedli.

Przyszliśmy na miejsce gdzie nade drzwiami było napisane: „Dla geometrów“. Zastanawiam się czy wolno nam wstąpić, bo geometrem nie jestem. Przewodnik mi rzecze: Chodź tylko bez zwłoki“. Weszliśmy. Tu znajduję ludzi, kreślących linie, haki, krzyże, koła kwadraty, kreski, każdy dla siebie. Przychodzili jeden do drugiego i rysunki sobie pokazywali. Jeden mówił, że dobrze zrobione, inny że inaczej zrobić należy a potem się z sobą ostro kłócili. Gdy kto nową jaką linię wynalazł, z radości skakał, drugich zwoływał, odkrycie swoje im pokazując. Ci się krzywili głowami chwiali palcami odbijali, a potem biegnąc do swego kąta, tej samej sztuki dokazać chcieli. Jedni potrafili a inni nie. Cała sień domu rysunkami

napelniona była, po ziemi, na ścianach, na powale, wszędzie pełno było linii, a nikt nie zważał, że po nich chodzili i też palcami się dotykali.

Co pomiędzy nimi najuczeńsi byli, ci do środka wszedłszy, usilnie do czegoś się zabierali, młodszy zaś z uwagą się przypatrywali. Z otwartemi usty rezultatu pracy wyczekiwali, a dużo wtenczas o tem mówiono. O tajemnicę jakąś chodziło; a gdyby ją rozwiązano, to się zdawało, że mądrości ludzkiej granic nie będzie. Chciałem się dowiedzieć, o co się rozchodzi. Przystąpiwszy bliżej ujrzałem, że mają między sobą koło i rozważają, jakoby z niego kwadrat zrobili. Dużo o tem rozmyślali i próby robili, lecz skutku żadnego osiągnąć nie mogli. Więc się rozeszli, polecając sobie nawzajem, aby każdy u siebie o tem myślał. Po niejakej chwili wyskoczył jeden, krzycząc i głosząc: „Mam! mam! Tajemnica odkryta! Już ją mam!“ — Wszyscy się naraz do niego zgarnęli, chcąc sprawę widzieć, nad nią się unosząc. On wyniósłszy ogromną księgę, pokazywał im odkrycia swoje i stał się okrzyk i uniesienie, jakie po odniesionem zwycięstwie bywa. Ale tej radości niebawem ktoś inny przeszkodził, krzycząc co miał głosu, aby nie dali się obalamucić, bo to kwadrat nie jest. Ten jeszcze większą księgę przedłożył i wszystkie kwadraty poprzednika swego w koła obrócił, dobitnie twierdząc, że co tamten twierdził, tego żaden człowiek dokonać nie może. Na te słowa wszyscy głowy na dół spuścili i do swych linii i figur wrócili.

Ztąd do innej przyszlśmy sieni, gdzie całe stopy, łokcie, siągi wagi, miary, dźwignie, lewary, skrzypce i podobne narzędzia przedawali. Pełno tam było ludzi, a wszyscy na wagach ważyli lub

miarami wymierzali. Niektórzy samą tę sień wymierzali, a każdy inaczej namierzył; lecz nie ustalili i znowu mierzyli. Niektórzy mierzyli ściany na dół, na szerz, na grubość; inni na wagach wazyli, a wszyscy twierdzili, że niema na świecie ani oprócz świata ani jednej rzeczy, którejby oni zmierzyć nie mogli. Ja się nieco temu ich rzemiosłu bliżej przypatrując, poznałem nie trudno, że tam więcej chluby niż prawdy było; pokiwałem głową i poszedłem dalej.

Do innego przyszedłem pokoju i tam słyszałem dużo muzyki, śpiewu, brzęku, huczenia różnych instrumentów. W około było dosyć dużo ludzi, którzy z góry, z dołu, z boków, zaglądali nastawiając uszu, aby dościsnąć, co to i gdzie huczy, jak się to dzieje, czem i dla czego ten dźwięk powstaje? Niektórzy mówili, że teraz już wiedzą, skąd to pochodzi. Inni z radości płasając, twierdzili, że coś boskiego jest w tej muzyce jakaś tajemnica nad tajemnicami. Dlatego te rzeczy z wielkiem uniesieniem i podskakiwaniem rozbierali, składali i przekładali. Lecz na to się ledwie z tysiąca jeden człowiek nadawał; ci drudzy tylko się przypatrywali. Gdy kto inny, na przykład ja rękę dołożył, to słyszeć było chrzest i skrzypienie, a nie muzykę. Gdym tedy widział, że niektórym ludziom, a to wcale zacnym, sprawa służyła tylko za zabawkę, na której czas swój mile spędzali, odszedłem stamtąd.

Wszędybył wiodł mię po schodach w górę na galeryę, gdzie ludzie jakieś drabiny robili i do obłoków je przystawiali, po nich w górę leźli i gwiazdy łapali; przez nie przeciągali sznury, prawnidła cyrkle, i tym sposobem drogi ich biegu ściśle

wymierzali. Niektórzy usiadłszy, reguły ich biegu opisywali, mierząc i licząc, kiedy się gwiazdy do siebie zbliżą a kiedy oddalą. Ja podziwiałem tę ludzką odwagę, że się aż do nieba wznoszą, a gwiazdom niebieskim prawa przepisują; sam do tej nauki ochoty nabrawszy, żywo się do niej zabierać zacząłem. Lecz gdym się trochę do rzeczy wprawił, miałem sposobność przyjść do przekonania, że gwiazdy jednak inak tańczyły, nie tak, jak im ludzie przepisywali. Astronomowie sami to spostrzegli, na samowolę nieba narzekali. Koniecznie gwiazdy nie chciały iść tak, jak astronomowie sobie umienili.

Niektórzy znowu nie szli tak wysoko, lecz tylko z dołu na nie patrzali, badając celu, do którego która gwiazda zmierzała. Sporządzali trygony, kwadraty i tym podobne formy i znaki, z których czytali, jak się światu w całości, jak poszczególnym osobom wokoło powodzić będzie. Stąd wielka trwoga lub też wielka radość między ludźmi była. Inni znowu na to wcale nie dbali, do kąta rzucali, z gwiazdarców drwili, chełpiąc się z tego, że bez ich proroctwa dosyć się najedzą, napiją i wyśpią. Na takie postronne sądy nie zważałem, byle tylko wiedza prawdziwą była. Ale im więcej na rzecz uważałem, tem mniej pewności w niej znajdowałem. Jeżeli przepowiednia jedna się spełniła, to pięć innych za to się nie wypełniło. Tak się przekonałem, że przyszłość wybadać nie jest łatwą rzeczą, nawet i bez gwiazd; gdy ją kto odgadnie, ma za to pochwałę; gdy się pomyli, trzeba się wymawiać. Uznałem tedy sprawę za marną i poszedłem dalej.

Weszliśmy znowu na inne miejsce, gdzie nowa sprawa nam się przedstawiała. Dużo tu było ludzi mających jakieś krzywe i ogięte rury. Jeden koniec do oczu przystawiali, a drugi przez ramiona za grzbietem osadzali. Pytam, co to znaczy, a przewodnik mój odpowiada, że to prespicylle, czyli szkła takowe, za pomocą których w tył widzieć można. „Albowiem“, prawil, kto chce być człowiekiem, musi nie tylko widzieć, co jest przed nogami, lecz także to widzieć, co jest poza nami, za naszym grzbietem, by z rzeczy minionych uczył się wnioskować o przyszłych, do tych się stosując. Ja miałem tę sprawę za zupełnie nową i nie wiedząc wcale, żeby takie instrumenta istniały, prosiłem jednego z obecnych, aby mi na chwilę przez te perspicille popatrzeć pozwolił. Podano ich kilka; a ja przez nie patrząc, przez każde inaczej rzeczy widziałem. Przez jedne rzecz jaka wydawała się daleką, przez inne ta sama zdała się być bliską. Przez jedne zdawało się, ma ona ten kolor, przez drugą wyraźnie widać było inny. Tak wypróbowałem, że się tu nie można niczem zabezpieczyć, jak rzecz którakolwiek właściwie wygląda. Ztąd się przekonałem, że każdy górnik swej lampie wierzy. Oni też z sobą ostro się sprzeczhali, lecz ja szedłem dalej.

Gdy mnie znów gdzieindziej poprowadzili za- pytałem, mówiąc: „Skoróż też będzie koniec tym uczonym? Już mi zgoła tęskno między nimi bawić“. — „To co najlepsze nam jeszcze zostaje“ — odparł Wszędybył. Wkroczyliśmy na jakąś sień wielką, pełną obrazów i ilustracyj. Po jednej stronie były same piękne i miłe, po drugiej stronie brzydkie i potworne. Wokoło przechodzili filozofowie, nie-

tylko na te obrazy patrząc, lecz opowiadaniem jeszcze dodawając tym pięknym krasy i przyozdobienia, tym brzydkim brzydkości i lekceważenia. Pytam, co to znaczy. Przewodnik mówi: „Czy na ich czołach nie widzisz napisów?“ — A prowadząc mnie te napisy mi pokazuje. Były tam imiona: Waleczność, Wstrzemięźliwość, Sprawiedliwość, Zgoda, i t. p. Z przeciwnej strony czytałem: Pycha, Żądza, Niezgoda i t. p. Filozofowie prosili wszystkich mimo idących i napominali, aby te piękne rzeczy kochali, te brzydkie przeciwnie w nienawiści mieli, te pierwsze, aby — jak najlepiej mogą — ludziom zachwalali, te drugie, aby — jak najwięcej mogą — ganili i wyszydzali. To mi się wszystko dobrze podobało i rzekłem: „A więc tu przynajmniej znajduję ludzi, którzy czynią rzeczy godne pochwały“. Tymczasem spostrzegłem, że ci mili zachwalacze nasi sami nie więcej nie lgnęli do pięknych niż brzydkich obrazów, ani od tychże się odrywali. Przeciwnie niejedni bardzo się ochotnie nimi zajmowali, a inni to widząc, tak samo się do nich chętnie zwracali, je oglądali, z nimi się bawili. Widząc te rzeczy bardzo się zgniewałem i rzekłem, mówiąc: „Zaprawdę widzę, że ludzie tak czynią jak wedle Ezopa ów wilk zauważał, mówiąc, że ludzie inaczej mówią, a inaczej czynią. Co usta chwala, od tego myślami swemi uciekają; co językiem gania, do tego całym sercem się garna“. — „Bo ty aniołów między ludźmi szukasz“ — ofuknął mnie tłumacz. — „Czy tobie kiedy coś się upodoba? Ty wszędzie nagany znajdujesz“. A więc zamilkłem i głowę na dół ku ziemi spuściłem, a to tem więcej ponieważ inni niemile zewsząd na mnie patrzali. I wyszedłem ztamtąd.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Pielgrzym przegląda alchemię.

Wszędybył rzekł do mnie: Teraz więc chodź, zaprowadzę cię, gdzie jest szczyt najwyższy ludzkiego dowcipu i tak rozkoszna robi się robota, że kto się raz tylko do niej zabierze, opuścić jej nigdy więcej nie może. Prosiłem tedy, by mi to pokazał. Zawiódł mię od razu do jakichś tam sklepów; tam stały rzędami ogniska, piecyki, kotły i różne szklane narzędzia, a wszystkie błyszczące i polerowane. Ludzie przechodząc znaszali gałązki i na ogień kładli, podmuchiwali, znowu przygaszali coś nalewali i znów przelewali i tak rozlicznie się zajmowali. Pytam się: „Kto są ci, co to tu robią?” Odpowiedział mi:

Są filozofowie najprzedniejsi w świecie. Co słońce niebieskie we wnętrzościach ziemi w ciągu lat wielu wykonać zdołało, to oni tu robią; oni różne kruszce na najwyższy stopień wyprowadzają, bo je w złoto przemieniają“. — „A to dlaczego?“ odpowiedziałem; „przecież się na świecie więcej używa żelaza i innych kruszców niż złota!“ — „Mówisz jak duren“, odparł przewodnik; „złoto jest przecież rzeczą najzacniejszą. Kto bowiem ma złoto, nędzy się nie boi.

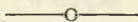
Siła ta owszem, która kruszce zwykle w złoto przemienia, ma jeszcze inne precudne wpływy; ona zdrowie ludzkie nienaruszonem zachowuje, a śmierci nie dopuści, chyba po latach dwustu albo trzystu. A gdyby kto umiał tego używać toby nieśmiertelnym pozostać mógł. Ten kamyk zaprawdę nie

jest nie innego jak nasienie życia, jak jądro i ekstrakt ze wszystkiego świata, z którego zwierzęta, rośliny, kruszce, a nawet żywioły istnienie mają“. Słyszając tak dziwne opowiadania, uląkłem się iście i rzekłem, mówiąc: A więc one wszystkie są nieśmiertelne“? — „Nie wszystkie one ten klejnot znajdują, nie wszystkie z nim się obchodzić umieją“, odrzekł przewodnik. „Jużbym ja wiedział, co sobie zacząć gdybym miał ten kamień. Pewnieby do mnie śmierć nie trafiła. A złota chciałbym mieć dosyć dla siebie i dla innych ludzi. Ale zkadże ten kamień dostać“? — On na to powiada: „Tu się wyrabia“! — „W tych to kociołkach“? ja zapytałem. — „Tak jest“, odpowiedział.

Chodzę sobie z zajęciem niemałym, na wszystko patrzę, jak się co robi, a przytem widzę, że się im wszystkim jednako nie wiedzie Jeden wzniecił ogień lecz trochę słaby i nie dogotował, co miał ugotować. Drugi miał ogień zanadto silny; pękły naczynia i coś wyskipiało. On mówił że mu azot wyleciał i zaczął płakać. Inny przelewając, rozlał lub stopnia i ciepła dobrze nie utrafił. Inny sobie oczy wy czadził i nie mógł roboty dokładnie zrobić! Innemu dym oczy przeraził, a nim je przetaił, azot mu uleciał. Niektórzy dymu dużo połknawszy, z tego umierali. Najwięcej było, którym nie stało we worku węgla; wybiegli gdzieś sobie nieco wypożyczyć a tym czasem odwar za nadto wystygł i cała robota była już na nic. Taka przygoda zdarzała się często, prawie ustawicznie. Chociaż nikogo nie dopuścili, jeżeli nie miał worka dobrze napchanego, to jednak prędko złoto uleciało, a potem przyszło sprawy zaniechać, lub biegać, gdzieby pieniędzy pożyczyc.

Przypatrzwszy się pracy ich, rzekłem: „Taki ci ja tu, co na darmo pracują, dosyć znajduję; lecz ktoby kamienia mądrości uzyskał, nikogo nie widzę. Widzę, jak złoto warzą i życie skwarzą, lecz jedno i drugie przewarzą, przeskwarzą. Gdzież ci majstrowie z kupami złota i nieśmiertelnością?“ — Odpowiedział na to: „Ci się nie pokażą, aniby im tego uczynić nie radził. Rzecz taka droga nie śmie się wyjawić, lecz być w tajemnicy, bo gdyby z monarchów kto słyszał, chciałby ją posiąść, a wynalazca byłby jak więzień. Oni się z swą sztuką ukrywać muszą“.

W tem widzę, niektórzy z owych opalonych schodzą się wespół; ja uszu nadstawiam, słuchając ich rozmów, jak swych niepowodzeń przyczyn dochodzą. Jeden składa winę na filozofów, że tę naukę przedstawiają w sposób niezrozumiały, drugi narzeka na kruchość naczyń zrobionych ze szkła, trzeci wskazuje na stanowisko planet niebieskich, bardzo niepomyślne, czwarty się żali, że żywe srebro ma dużo przymieszek, piąty narzeka na brak pieniędzy. Słowem tych przyczyn było bardzo dużo, iż nie wiedzieli, jak swym zamiarom do zwycięstwa pomódz. Widząc to wszystko, gdy jeden za drugim z miejsca wychodzili, i ja poszedłem.



ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Pielgrzym medycynę przegląda.

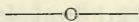
Przewiodłszy mię jakiemiś uliczkami, na innym mię znów placu postawił, gdzie mi się groźny

widok przedstawiał. Rozpięli przed sobą człowieka i jeden mu członek po drugim odcinali. We wszystkich jego wnętrznościach palcami przebierając z upodobaniem, pokazywali, co w nim znaleźli. Rzekłem tedy, mówiąc: „A toć okrucieństwo zachodzić z człowiekiem jako z bydłciem!“ — „To tak być musi“, — rzecze na to tłumacz — „to jest ich szkoła“.

Oni zaniechawszy swojej roboty, rozbiegli się po ogrodach, łąkach, polach i górach, a jaką roślinę wyrastającą znaleźli, tych nazrywali i takie gromady nanosili, że do ich przebrania i do przejrzenia lata nie starczyły. Każdy z uczonych brał z onej kupy, co mu do rąk przyszło, i biegnąc do ciała rozpostartego, członki jego na wzdłuż, na szerz i na grubość mierzył. Ten mówił, że się to z tem zgadza inny że się nie zgadza, przyczem ogromny hałas robili, ba nawet co do nazwy owego ziela bardzo się z sobą sprzeczhali. Kto ich najwięcej znał, kto wywarzać i odważać umiał, temu z nich wieniec piękny uwito, na głowę włożono i doktorem nauk wszystkich lekarskich go ogłoszono.

Wtem patrzę, przynoszą i przywodzą do nich rozmaitych ludzi na wewnętrzne i zewnętrzne rany cierpiących. Lekarze przystępując, oglądali rany ich zagniłe, wachali wyziewy z nich wychodzące, mieszcili palcami w nieczystościach, co górą i dołem z nich wychodziły, aż ekliwo patrzeć; a to próbami wszystko nazywali. Potem dopiero warzyli, parzyli, prażyli, skwarzyli, palili, studzili, siekali, rzezali, bodli, zeszywali, wiązali, mazali, twarządzili, miękczyli, zakrywali, nalewali, i nie wiem, co jeszcze więcej robili. Między tem chorzy w rękach

ich ginęli, najczęściej z wielkiem narzekaniem na nich, że wskutek nieumiejętności ich i niedbalstwa muszą tyle cierpieć i muszą umierać. Z wszystkiego poznałem, że choć sporo zysku przyniosło zajęcie leczenia chorób to jeżeli zadaniu chcieli choć trochę zadość uczynić, musieli się pilnie pracą zajmować i niejedną brzydką robotę wykonać. W końcu doznawali niechęci nie mniej, niżeli przyjaźni. Ta sprawa mi się nie podobała.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

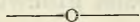
Pielgrzym idzie na nauki prawa.

Pod koniec zawiedli mię jeszcze na pewną szeroką salę, gdzie znalazłem wielu znakomitych ludzi, więcej niż gdzieindziej. Wokoło po salach mieli malowane mury, zarysy, płoty, parkany, zapory, przegrody. Między temi były szpary, dziury, drzwi, wrota, zawory i zamki, a do tych rozliczne klucze, kluczki i haki. A wszystkie te rzeczy rozmierzali, wskazując jeden drugiemu, któredy to można przejść, albo też nie można. Pytam się, co to ci ludzie robią? Odpowiedziano, że wyszukują, jakim sposobem każdy człowiek w świecie przy swojej własności może zostawać, albo też z rzeczy należących innym do siebie nieco potrafi przygarnąć, nie naruszając porządku i zgody. Rzekłem u siebie: „To jest piękna sprawa“, lecz gdym się nieco bliżej przypatrzył, to mi się zbrzydziła.

Stało się to przedewszystkiem z tego, ponieważ spostrzegłem, że te rozdzielania nie miały na celu ni duszy, ni myśli, ni nawet ciała człowieka, lecz tylko majątność jego, a zatem rzecz taką, która z osobą samego człowieka nie jest złączoną. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego na nią tyle ludzkiej pracy poświęcać wypada, albo się godzi.

Do tego widziałem, że wszystka ta wiedza zasadza się tylko na żądaniu jednych albo drugich ludzi. Temu lub owemu umieniło się to albo owo za prawo ogłosić, a już go inni wiernie przestrzegają. Dalej to spostrzegłem, że gdy się komu w głowie zakręciło, odrazu zapory lub dziury robi albo je burzy. Wiele z owych rzeczy robiono tylko innym na przekór, a inni musieli sobie głowę łamać i wszelkich subtelności używać, aby to znowu naprawić i zrównać. Dziwiłem się tedy, że nad rzeczami tak drobnymi, żadnej prawie wagi nie mającemi, z których się jedna na tysiąc lat zdarzy, tak się rozpalają i tak się pocą i tyle radości serca okazują! Albowiem im lepiej kto jaką zaporę umiał usunąć, lub jaką dziurę w parkanie wytargać, a potem ją zatarasować, tem większe miał w sobie upodobanie, tem bardziej mu inni przyklaskiwali. Jednakowoż inni się sprzeciwiali, twierdząc, że inaczej, nie jak oni robią, otwory zagradzać i dziury otwierać należy. Więc były rozterki i gadaniny, ten rzecz przedstawiał w sposób owaki, a ten w sposób taki i każdy jak mógł, widzów do siebie wabił i ściągał. Patrząc na takie marnowanie czasu, pokręciłem głową i powiedziałem: „Wychodźmy już stąd; mnie tu jakoś duszno“. Tłumacz mój wystąpił na mnie z oburzeniem, wołając: „Kiedyż się ci na tym świecie co

upodoba? Najszlachetniejszym rzeczom wynajdziesz nagane, człowiecze umysłu tak niestałego!“ — Wsędybył na to odpowiada, mówiąc: „Mnie się zdaje, że mu nabożeństwo pachnie; zawieźmy go tam, może sobie znajdzie, co mu się podoba.“



ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

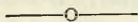
Pielgrzym przygląda się promocyi magistrów i doktorów.

Wtem odezwał się huk trąby, zwołujący ludzi na uroczystość, a przewodnik zrozumiałwszy, co to znaczy, rzecze: „Wróćmy się jeszcze, tu będzie się czemu przypatrzeć“. — „A cóż to będzie?“ — zapytałem się. — Akademia ukoronuje tych, którzy, będąc od innych pilniejsi, dostąpili szczytu umiejętności. Ci na przykład innym koronowani będą“. Chcąc tedy widzieć rzecz tak osobliwą i patrząc na hufy, które się zbiegały, wszedłem tam, wespół z innymi ludźmi. A oto widzę, stoi ktoś na sali pod baldachinem, jakby pod niebem samych filozofów; ma w ręku berło zrobione z papieru. Z pośród zgromadzenia idą niektórzy i przystąpiwszy, prosząc świadectwo wysokiej uczoności swojej. Ten pochwalwszy żądanie uczonych, uznał je zupełnie uzasadnionem; lecz im **poleciał**, aby na papierze spisali, co umieją i na co stwierdzenia żądają. Zatem odbierali potwierdzenie najwyższych stopni w naukach, jeden z filozofii, drugi z medycyny inny z nauk prawa, pomazując przytem, aby sprawa gładziej postępowała, woreczkami złota.

On tedy biorąc jednego po drugim, każdemu przylepił na czole tytuł: „To jest mistrz nauk wyzwolonych; to jest doktor medycyny; to jest praw obojga licenciat i t. p.“ Tytuł nadany potwierdził pieczęcią, wszystkim obecnym i nieobecnym ściśle porучzył, by pod groźbą gniewu bogini Pallady nikt ich inaczej nie tytułował, jak tytułem nauk. Z tem się zastępy ludu rozproszyły, a ja rzekłem, mówiąc: „Czy będzie co więcej?“ — „A czy ci nie dosyć?“ odparł na to tłumacz — „Czy chyba nie widzisz, jak im wszyscy ludzie miejsca ustępują?“ I rzeczywiście im ustępowali.

Ja jednakowóż chciałem się przekonać, co z tych mistrzów będzie. Patrzę więc dalej, jak się w naukach swoich przedstawiają. Kazali jednemu coś wyrachować; on nie umiał. Kazali coś wymierzyć; nie umiał. Kazali gwiazdy po imieniu nazwać; nie umiał. Kazali jakiś syllogizm wykonać; nie umiał. Kazali obcymi mówić językami; nie umiał. Kazali wkońcu czytać i pisać; także nie umiał. „A co do licha“ — powiadam na to — „siedmiorga nauk mistrzem się mianować, a żadnej nie umieć!“ Tłumacz na to odrzekł: „Nie umie jeden umie za to drugi, trzeci i czwarty; nikt we wszystkich rzeczach nie jest doskonały“. — „Ja zaś jestem zdania“, — odpowiedziałem, — „że gdy kto spędził cały wiek na szkołach, gdy wynalazł cały majątek, a w końcu otrzymał tytuł i pieczęć, to się przecie wolno takiego zapytać, czego się nauczył!“ — „Ty już mędrkowania iście nie zaniechasz“ — odpowiedział na to — „lecz sobie pewnie nieco utarżysz; przysięgam, że jeszcze nieco oberwiesz“. — „Niech sobie tam będą mistrzami i do-

ktorami nauk choćby nawet i siedmdziesięcin siedmiu a niech umieją wszystko albo nic; ja już nie nie powiem, tylko pójdźmy dalej“.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Pielgrzym się stanowi nabożnych przygląda.

Prowadzili mnie jakimś gankami i przyszliśmy na rynek, gdzie było dużo świątyń i kaplic w rozlicznych formach wybudowanych, a z nich wychodziły i do nich wchodziły istne zastępy rozmaitych ludzi. Wstąpiliśmy do najbliższej świątyni, a tu widzimy po wszystkich ścianach same obrazy i liczne posągi mężczyzn i kobiet, potem wszelakiego zwierza, ptactwa, dalej drzew, roślin i ziemiopłodów, tudzież słońca, księżyca, gwiazd, a było nawet djabłów obrzydliwych pełno.

Z tych, co do świątyni wstępowali, wybierał każdy, co jemu prawie się podobało. Przed tem klękał, to całował, przed tem kadził i ofiary palił. Dziwiła mnie bardzo ta powszechna zgoda, że każdy swą sprawę i nabożeństwo tak pełnił, jak sam za dobre uznawał; że wszyscy siebie spokojnie znosili i każdy każdego przy jego sposobie myślenia zostawiał, czego gdzieindziej w świecie nie spostrzegłem. Jednak mnie tu jakiś zapach przeraźliwy niemiłe dotykał, zgrozą napelniał, tak żem stąd śpieszył

Weszliśmy do innej świątyni białej i bardzo czystej; nie było tam żadnych obrazów krom żywych. Ci zaś głowami ku ziemi kiwając, z cicha coś

mruczeli, to się znów podnosząc uszy zatykali, usta szeroko otwierali, głos wydawając, który wileczycy wyciu był podobny. Potem się skupiali i do ksiąg jakichś współ zaglądali. Do nich podeszedłszy, i ja się patrzałem i dziwne widziałem jakieś malowidła. Widziałem zwierzyne obrosłą pierzem i mającą skrzydła, a widziałem ptastwo bez pierza, bez skrzydeł; widziałem bydłęta z ludzkimi członkami, a ludzi z członkami rozmaitych zwierząt. Było jedno ciało z kilkoma głowami, była jedna głowa z kilkoma ciałami. Niektóry potwór na miejscu ogona miał głowę, a na miejscu głowy było widać ogon; inne zaś były, co miały oczy u dołu brzucha, a nogi na grzbiecie. Niektóry zwierz miał oczu i uszu, pysków i nóg zgoła bez liku, a znowu inny nie z tych wszystkich członków. Wszystkie zaś członki dziwnie jakoś były poprzesztawiane, złączone, przegięte, skrzywione, a wszystkie współ nader nierówne. Jeden członek długi na jedną stopę a drugi na sążeń; jeden cienki jak palec, drugi gruby jak beczka, słowem wszystko potwornie przemieniane; ani oczom swoim uwierzyć nie mogłem. Oni zaś mówili, że to historye; chwalili je, mówiąc, że to są rzeczy wielkiej zacności a starsi młodszym je ukazywali, jako tajemnicę. Ja na to rzekłem: „Któżby pomyślał, że się znajdują ludzie, co rzeczy tak wstrętne za piękne mają? Zostawmy ich tutaj, a chodźmy gdzieindziej!”

A więc do innej świątyni weszliśmy, okrągłego kształtu a wewnątrz było tam bardzo piękne, bez wszelkich ozdób, z wyjątkiem niektórych liter na ścianach i pięknych kobierców tuż na podłodze. Ludzie w świątyni byli bardzo cicho i nabożnie się zachowywali. Białe prześcieradła i wielką czystość

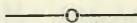
bardzo lubili, albowiem się zawsze myli i jałmużnę dawali, z powodu czego mię serce moje dziwnie do nich ciągnęło. I rzekłem: „Na jakim fundamencie zasadzają się wszystkie te ich sprawy?“ Odpowiedział Wszechwiedz: „Oni go szatą okrywszy, noszą“. — Ja przystąpiwszy żądam wyjaśnienia. Oni mi rzekli, że tylko ci śmia to wiedzieć, co im naukę wiary objaśniają. Chcąc jednak o tem bliżej się dowiedzieć, przedłożyłem przed nimi na stole pozwolenie p. Osuda.

Wydobyli tablicę i ukazali mi ją. Na tablicy było drzewo, korzeniami w niebo się wspinające, a latoroślami rosnące w ziemię. Około tych latorośli uwijały się krety ryjące ziemię, a jeden wśród nich wzrostem najprzedniejszy chodził wkoło, innych zwoływał i w pracy rej wodził. Mówiono mi, że na gałęziach onego drzewa pod ziemią piękne owoce rosną, a ci ukryci i pracowici robotnicy z ziemi je wydobywają“. — „A to jest suma tego nabożeństwa“ — odpowiada Wszechwiedz. Zrozumiałem tedy, że jego fundament jest na powiew wiatru zawsze narażony, celem zaś jego i oraz owocem jest szukanie niech oku niewidzialnych, albowiem szukają, a nie wiedzą, czego. (Mahometanie).

Odszedłszy stamtąd, rzekłem wodzu swemu: „Czemże udowodnią, że to jest prawy i pewny fundament ich nabożeństwa?“ Rzekł: „Chodź i oglądaj!“ Wyszliśmy na plac z miejsca świętego, a oto ci biali, umyści ludźmi, zakasawszy rękawy, z oczyma iskrzącymi, zębami zgrzytając i rycząc straszliwie, gonią wokół, kogo spotkają, szablami rąbią, a we krwi ludzkiej przeraźliwie broczą. Ja widząc te rzeczy, bardzo się przeląknęłam i biegnąc napowrót, się za-

pytałem: „Co to oni robią?” — Słyszę odpowiedź: „Oni dysputują o religii, tudzież dowodzą, że Koran jest księgą prawdziwą i świętą.”

Tedyśmy znowu weszli do świątyni, a oto między onymi, co ową tablicę nosili, powstała sprzeczka, ile rozumiałem, o onego kreta najprzedniejszego. Jedni twierdzili, że on osobiście wszystkimi mniejszymi kretami rządzi; drudzy zaś mówili, że ma dwu innych mniejszych pomocników. A o tę sprawę tak się sprzeczali, nie chcąc się ujednać sami między sobą, że się szarpali, żelazem i mieczem prawdziwych **twierdzeń** dowodząc przed swymi, jak ją dla obcych ogniem i mieczem udowadniali, aż na wspomnienie trwoga serca nasze ogarnia i tłumi.



ROZRZIAŁ SZESNASTY.

Pielgrzym się stanom zwierzchności przygląda.

Potem przyszedliśmy na inną ulicę. Po wszystkich stronach było pełno stolic, a do tych, co na nich siedzieli, odzywali się ludzie, mówiąc: Panie wójcie, Panie burmistrzu, Panie urzędniku, Panie rejencie, Panie burgrabio! Panie kanclerzu, Panie namiestniku, Panowie sędziowie, Mości Panie Królu, Miłościwy Książę, Panie itp. Rzecz mi tłumacz: „Oto masz tych ludzi, którzy w rozprawach sądy i wyroki wydawają, złych ludzi karzą, dobrych ochraniają w świecie rządu pełnią”. — „A to jest rzecz piękna“, odpowiedziałem, i jak mi się zdaje, w ludzkim pokoleniu ze wszech miar potrzebna.

Skądże też tacy ludzie się biorą?“ Odpowiedział na to: „Niektórzy rodzą się; innych oni sami lub gminy wybierają, a przeważnie takich, których za najmądrszych, najdoświadczeńszych, najdoskonalej znających prawa i sprawiedliwość w kraju uważają“. — „A to zaiste rzecz piękna i dobra“, odpowiedziałem.

Wtem patrzę bliżej i co spostrzegam? Niektórzy się sami stolic dokupują; inni się do nich wpraszaają, inni pochlebstwami drogę torują, inni się sami na nich osadzają. Ja widząc te rzeczy krzyknąłem: „Biada, co to za nieład!“ — „Milcz, nie szczęśniku“, woła na mnie tłumacz; „źle na tem wyjdiesz gdy to usłyszają“. — „Czemuż nie czekają, aż ich wybiorą?“ — Odpowiedział na to: „Oni pewnie wiedzą, że doskonale tej pracy rozumią. Jeżeli zaś za nich innych przyjmują, cóż tobie do tego“?

Zamilkłem tedy i włożywszy okulary patrzę pilnie na nich. Ujrzałem rzeczy nadzwyczaj dziwne, a mianowicie, że rzadko który wszystkie członki miał. Każdemu z nich czegoś nader potrzebnego nie dostawało. Niektórzy nie mieli uszu, by utyskiwania poddanych wysłuchać inni nie mieli oczu, by mogli spostrzedz różne nieporządki na około siebie, inni nie mieli nosu, którymby zwachali wybiegi krętały przeciwko prawu, inni języka nie mieli, którymby się w obronie uciśnionych braci odezwali, inni rąk nie mieli, nie mogąc wykonać wyroków sprawiedliwości; inni wkońcu serca nie mieli, bojąc się wykonać, co sprawiedliwość rozporządziła.

Którzy zaś mieli te wszystkie członki, ci byli ludźmi utrapionymi, bo się do nich ludzie bez przerwy garnęli. Nie mieli czasu pojeść spokojnie ni sobie odpocząć, gdy tymczasem inni prawie próżno-

wali. Widząc to rzekłem: „Jak można sądy i sprawiedliwość powierzyć ludziom, którzy nie mają potrzebnych członków“? Tłumacz odpowiada, że temu tak nie jest, że tylko mnie się tak być wydaje. „Kto innymi rządzi, musi często nie widzieć, nie słyszeć, nie rozumieć, choćby dobrze widział, słyszał i rozumiał, czego ty człowiecze, w rzeczach polityki niedoświadczony wcale nie rozumiesz“. — „Przecież ja widzę, jak Boga kocham, że oni tych członków których im trzeba, nie mają“, odpowiedziałem. — „Milcz“, odparł przewodnik; tyle ci radzę; jeżeli nie przestaniesz rozumy wysypać, to ci zaręczam, że się tam dostaniesz, dokądbyś nie chciał“. Czy nie wiesz, że sędziom ubliżać, to gardłem pachnie“? Umilkłem tedy i cicho odtąd na wszystko patrzałem. Nie chcę też wyliczać, co wszystko widziałem, dwie tylko jeszcze rzeczy poruszę.

Wszechwiedz rzecze do mnie: Chodź, na sprawy królów, książąt i innych panów, którzy nad poddanymi panują, się popatrzymy. Może ci te lepiej się upodobają“. Weszliśmy tam gdzieś, aż tu widzę, że rzadko kto do nich przystąpić zdołał albo ich dosięgnąć, chyba za pomocą jakich przyrządów. Każdy z tych panów miał na miejscu uszu jakieś długie trąby, a to tak u jednej jak u drugiej strony. Kto chciał do nich mówić, musiał w trąbę szeptać. Te były krzywe i jeszcze dziurawe, dużo słów zginęło nim uszu doszły, a które doszły, były zmienione do niepoznania. Do tego spostrzegłem, że mówiącym często nie odpowiadano. Niejeden wołał i krzyczał głośno, ale się jednak wcale nie dowołał; inni dostali jakąś odpowiedź, ale nie do rzeczy. Podobnym sposobem mieli ci panowie zamiast oczu

i języka też takie trąby; przez nie się często widziało inaczej, jak się rzecz miała, a inaczej nawet brzmiała odpowiedź, jak sam pan ją dawał. Spostrzegłszy to, rzekłem: „Dlaczego przecie tych trąb nie odłożą? Dlaczegoż nie patrzą własnymi oczyma, własnymi uszama nie posłuchają tak, jak inni ludzie i własnym językiem nie odpowiadają?“ — „Zacność osoby i powaga miejsca tego wymaga“, odpowiedział tłumacz; „takie korowody muszą być, bo to nie chłopci, którymby się wszysecy ludzie o język, oczy i uszy ocierać śmieli“.

Wtem spostrzegłem, jak niektórzy ludzie około tronu chodzili; jedni panującemu coś przez trąbę do ucha szeptali, drudzy kolorowe okulary na nos wkładali, inni mu pod nosem kadzili, inni mu ręce składali i przekładali, inni nogi spinali i rozpinali. Pytam się tłumacza: „Co to za ludzie i co oni robią?“ Odpowiada na to: „To są tajni radcy; oni królów i wielkich panów informują“. „Jabym tego nie ścierpiał“, odrzekłem od siebie. „Ja na ich miejscu nie pozwoliłbym się tak krępować“ „Sam jeden człowiek nie może we wszystkim na sobie polegać, ani też na to pozwolić nie można“, odrzekł przewodnik. „A toć“, powiadam, „ci wieley panowie mają się gorzej niż biedni kmiotkowie; tak są skrępowani, że się giąć nie mogą, lecz woli innych ulegać muszą“. — „Ale tym sposobem mają większą pewność“, rzecze przewodnik. „Popatrz się na tamtych“.

Spojrzałem, a widzę, niektórzy z tych, co na stolicach siedzieli, nie pozwolili sobą kierować lecz opiekunów swych precz wypędzili, co mi się istotnie bardzo podobało. Ale niebawem spostrzegłem przy tem inną niedogodność. W miejsce wypędzo-

nych mnóstwo innych ludzi przybyło, którzy siedzącemu na stolicy do uszu, do nosa i do ust dmuchali, rozlicznym sposobem oczy jego zakrywali, odkrywali, ręce i nogi jego składali i rozkładali; kto tylko przyszedł, na swą stronę przeciągnąć go pragnęli, tak że wkońcu biedny nie wiedział, co robić, od kogo się bronić, do kogo się skłonić i jak sobie począć. I rzekłem: „Już widzę, że lepiej jest kilku wybranym zaufać niż się wystawić na rwanie przez wszystkich. „Czy przecież nie można jakoś inaczej sobie dopomódz“? zauważyłem. Jak sobie tu pomodz“? odpowiedział na to. „To powołanie jest tego rodzaju, że od wszystkich ludzi trzeba przyjmować, z czemkolwiek idą: jedni ze skargami, drudzy z prośbami, inni z narzekaniem, inni ze wzywaniem i uciśkami i z przykrościami a wszystkim trzeba względem okazywać, wszystkim dopomódz do sprawiedliwości“.

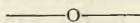
Pokazał mi kilku takich panów, którzy nikomu nie dali do siebie przystępu, chyba takim ludziom, co o wygodzie dla nich rozmyślali i taką sprawiali. Widziałem, niektórzy z nich nadskakiwali, dłońmi głaskali, poduszkami okładali, zwierciadła przed oczy stawiali, wachlarzami powiew wiatru robili, piórka i pyłek zbierali, suknie i pantofle całowali, a to wszystko z przodu. Niektórzy nawet lizali śliny i flegmę, którą pan wyrzucił, i chwaliłi sobie, jak słodko smakuje. Lecz mnie się ta rzecz nie podobała, tem więcej gdym widział, że stolica takich mocno nie stała, ale nie mając lepszej podpory, prędko się waliła.

W mojej obecności się stało, że się jednemu stolica zachwiała i obaliła. On zleciał na ziemię.

Powstał zgiełk i zamęt, a gdym się obejrzał, już innego wiodą i na stolicy sadzają. Wszyscy płasają i radują się, że inaczej będzie, niż było dotąd. Zgromadzeni naprawiali stolicę, aby mocno stała, każdy jak umiał i mógł. Ja będąc zdania, że co jest dobre utwierdzać należy, także podszedłszy rękę przyczynilem i klin jeden wbilem za co mnie niektórzy chwaili, lecz inni brzydko na mnie patrzali. W tej chwili ów pierwszy wpadł na nas z batem razem ze zwolennikami swymi i wali z za głowy, co mu sił stało, do hufu ludzi, aż wszystko pierzcha, a niektórym głowy na ziemię spadają. Ja strachem zrażony nie wiem, co robić, aż mój przewodnik, widząc, co tych czeka, którzy innego na stolicę wiedli, porwie mnie i nagli, abym uciekał, bo tu niebezpiecznie. Ja też, co mogę, zmykam do kąta. Tak zrozumiałem, że nie jest bezpieczną, ani siedzieć na takiej stolicy, ani się blisko koło niej ocierać. Tak tedy rzekłem do mych przywódców, mówiąc: Niech się tych wyżyn, kto chce, dotyka, tylko nie ja“.

Przekonałem się, że pełno wszędzie było nieprawości, choć ci panowie rządcami świata nazwani być chcieli. Czy taki pan tylko zapomocą trąbki z poddanym rozmawiał, albo czy czynił, co inni do uszu mu nadmuchali, tyle krzywd widziałem jak sprawiedliwości, tyle skarg słyszałem jak świadectw radości. Tak się przekonałem że sprawiedliwość miesza się z bezprawiem, a przemoc często idzie przed sądem. Na ratuszach, biurach i w sądach publicznych tworzą wyroki, które nie zawsze ze sprawiedliwością pogodzić się dadzą. A którzy się w świecie patronami rządów nazywać lubią, często u siebie nieporządki mają. Ma-

jąc przekonanie, że ten stan, co w świecie tak się
łśni i mieni, sam w sobie dużo nędzy i bied kryje,
pożegnałem się i poszedłem dalej.



ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Stan żołnierski.

Weszliśmy tedy w ostatnią ulicę i zaraz
w pierwszym placu widziałem, stało dużo ludzi
w czerwonym ubraniu. Podeszedłszy do nich, słyszę
ich rozmowy. Naradzali się o tem, jakim sposobem
możnaby Śmierci dać takie skrzydła, żeby z daleka
i z bliska ludzi ścinała. Również naradzali się, jak
w okamgnieniu możnaby zburzyć, co ludzie w cią-
gu wieków zbudowali. Te rozmowy serce moje
przeraziły. Co dotąd widziałem z ludzkich uczyn-
ków, to wszystko zmierzało do polepszenia bytu
człowieczego, do umysłowego wykształcenia ludzi.
Ci przeciwnie o tem rozmyślali, jakby dobrobyt
i życie człowieka w niwecz obrócili. Tłumacz od-
powiedział, że „i ci ludzie do dobrego dążą, tylko
sobie inną drogę obrali. Oni przeszkody z drogi
usuwiają, jak się sam przekonasz“.

Wstępujemy do bramy. Zamiast odźwierne-
go stoją jacyś ludzie z bębнами u piersi i każdego,
który chce wejść, pytają się, czyli ma torbę? Gdy
ją przed nimi ukazał, otworzyli, sypnęli w nią
pieniądze, mówiąc: „Ta skóra tedy będzie zapła-
cona“. Wprowadzili go do jakiegoś sklepu, a gdy
stąd wyszedł ogniem i żelazem uzbrojony, kazali
mu iść dalej na jakiś tam plac.

Ja też chciałem wiedzieć, co w tym sklepie jest, przeto tam najprzód wstąpiłem, a oto po wszystkich stronach, aż ani końca widzieć nie było, ogromne kupy wszelakiej zbroi; na tysiące wozów nie można jej zabrać. Są sprzęty do klucia, sieczenia, rznienia, bodzenia, rąbania, szczepienia, cięcia, targania, palenia, słowem do odbierania człowiekowi życia. Jedne narzędzia były z żelaza, inne z ołowiu, inne z drzewa, inne z kamienia, tak żem na ten widok zgrozą był przejęty. „Na jakiegoż zwierza są te przybory?“ zapytałem zaniepokojony. — „To wszystko na ludzi!“ odpowiedział tłumacz. — „Na ludzi?“ rzekłem. „Ach ja myślałem, na wściekłą zwierzynę, na jakieś straszne dzikie potwory. Ach cóż za okrutność, że ludzie na ludzi tak okropne rzeczy wymyślają i robią!“ „Ach, jakiś ty tkliwy!“ odpowiada tłumacz i śmieje się ze mnie.

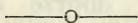
Naraz uderzono w bębny, zagrały trąby i stał się krzyk i łoskot przeraźliwy. Każdy się zrywa, dobywa miecza, sięga po szablę i włócznię i, co ma, bez wszelkiej litości rąbiąc i bodąc jeden drugiego, aż krew wszędzie tryska i strumieniem płynie, biją i rąbią, kołą i siekają, jak najgorsi zbójcy. Na wszystkie strony rozlega się grzmot; słyszeć tentent koni, chrzęst pancерzy, dźwięk mieczów, huk strzelby, świst i gwizdanie kul przelatujących, odgłos trąb i huk bębnów, krzyk tych, co do boju wojsko zachęcają, okrzyki zwycięzców, jęki rannionych i umierających. Tu widzisz straszne grabobicie ołowianych strzał; tu słyszysz straszliwy grzmot i błyskanie armatnich wyrzółów. Tu temu, tam owemu odleciała ręka, noga albo głowa; tu

się jeden przez drugiego wali, a wszyscy we krwi broczą. „Ach, wszechmocny Boże! Cóż się to tu dzieje?“ westchnąłem głęboko. „Czy to już cały ten świat zaginie?“

Opamiętawszy się pośpieszyłem z tego okropnego miejsca, ale nie wiem, jakom się wydostał. Odetchnawszy nieco, drżąc na całym ciele, do przewodników się odzywam, mówiąc: „Jakżeście mnie też tu przyprowadzili?“ — Odpowiadają: „Nie-wieściuch z ciebie. Kto chce być człowiekiem, musi się docierać!“ — „A cóż ci ludzie sobie zrobili?“ pytam się dalej. — „Panowie się z sobą poróżnili; a innym sposobem nie było można sprawy załagodzić.“ — „A czemuż się znowu nie pogodzą?“ zapytałem. — „A któż ich tam ma godzić?“ odpowiedział na to. „Wielcy panowie nie mają sędziego nad sobą; oni sami muszą rozstrzygnąć swe sprawy orężem i mieczem. Kto innemu mieczem zaszermuje, a ogniem zakurzy, ten postawi na swem“. — „O, barbarzyństwo i wściekłość straszliwa!“ — zauważyłem. „Czy na rozstrzygnięcie powikłanej sprawy istotnie innej drogi nie mają? Dzi-kim potworom, nie rozumnym ludziom tak rozpierać się godzi.“

W tem widzę, jako z pobojuwiska wynoszą rannych; jedni mieli porąbane ręce, nogi, głowę, nos, poszarpane ciało, porąbaną skórę, a cali byli zbroczeni we krwi, aż przykro było na nich się popatrzeć, choć tylko przez litość. Tłumacz mi powiada: „To się wszystko zgoi; żołnierz jest dobrze zahartowany“. — „A cóż o tych powiesz, co trupem polegli?“ pytam zniechęcony. „A wszak im za skórę z góry zapłacili“, odpowiada na to.

„Jak to rozumiesz?“ zapytałem się. — „Czy nie widziałeś, jakie wygody przedtem miewali?“ — „A niewygody, jakie ponosili; czy to nie nie znaczy?“ odpowiedziałem. „Biedne to zresztą były rozkosze, z których się cieszyli; bo czy to przyjemność, dlatego się karmić, aby niebawem dostać się na jatkę? Brzydzą się tem życiem; nie chcą, o nie chcą do nich należeć. Wychodźmy dalej“.



ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Stan rycerski.

„Popatrz się tylko“, rzecze mój tłumacz, „jakiej czci doznaje, kto po bohatersku się zachowuje, a przez oszczepy, miecze, kule, strzały przebieć się umie!“ Wiodą mnie tedy na jakiś pałac. Tam panujący siedział na tronie w chwale majestatu i wezwał do siebie niektórych ludzi, którzy sobie mężnie w świecie poczynali. Dużo ich śpieszyło, niosąc ze sobą czaszki, kości, żebra, pięście, wory i worki, które wrogom poodcinali i z sobą zabrali. Za to odbierali pochwały. Monarcha im dawał jakieś malowidła, które zapewniały pewne przywileje przed różnymi ludźmi. Odszczególnieni przywiązywali te malowidła do długich drążków i wysoko je przed oczyma ludzi nosili.

Widząc te oznaki nie tylko rycerze o nie się głosili, lecz także ludzie innych powołań przystępowali, aby je uzyskać. Jedni od rzemiosła, drudzy od książek szli przed majestat, a nie mając

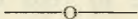
ran ani zdobyczy zabranych na wojnie, własne swe worki kładli przed króla, albo też kreski, które w księgach wypisali. Tym też dawano podobne oznaki, nawet okazalsze niż tamtym i na wyższą sień ich z pałacu wypuszczano.

Wszedłszy po za nimi, widziałem, jak się tłumnie przechadzali, z głową podniesioną, na piętach ostrogi a u boku szabla. Nie odważyłem się przystąpić bliżej i dobrze zrobiłem. Niebawem spostrzegłem, jak się niejednemu, co się do nich garnał, nie pięknie powiodło. Którzy się nadto blisko dociskali, którzy im z drogi nie ustępowali, którzy dość głęboko się nie klaniali, którzy tytułu dosyć wyraźnie nie wymawiali, ci wszyscy na sobie odczuli pięście odszczególnionych. Tego się lękając chciałem i ja odejść, ale Wszechwiedz radził, mówiąc mi: „Przypatrz się jeszcze lepiej, tylko ostrożnie.“

Tak więc z daleka się przypatruję, co to właściwie ci panowie robią; tu widzę, jak się według oddawnych swobód stanu swego dziwnie zachowują. Jedni bruk deptają, drudzy nogami konia obejmują, inni z chartami na zające i wilki polują, inni chłopów do roboty pędzą, w wieżach zamykają i znów wypuszczają. Inni koło stołów niepoliczonemi zastawionych misami siadają, długo pod nimi nogi trzymają, potem nogami sztucznie zaplatają, paluszki całują, w wareaby i kostki umiejętnie grają, bezwstydnie gadają i tym podobne rzeczy wyprawiają. Swobodami, mówią, jest im potwierdzono, że cokolwiek czynią, szlachectwa piętno na sobie nosi, a żaden inny tylko szlachcice mają do nich przystęp. Niektórzy swe herby na-

wzajem mierzyli; im który był większy, tem więcej znaczył; kto zaś miał nowy, to nad nim tylko głowami chwiali. Jeszcze niektóre rzeczy widziałem, co mi się bardzo dziwnie przedstawiały, lecz o tych wspominać się nie odważam. Tyle tylko rzekę, że gdym się marnościom ich postępowania bliżej przypatrzył, odniosłem się z prośbą do swego przywódcy, byśmy dalej poszli; co się też stało.

Gdyśmy szli, rzekł do mnie tłumacz: „Tak widziałeś prace, utrapienie ludzi, a nie ci się z tego nie podobalo. Już ci się zdaje, że krom pracy ludzie wcale nic nie mają. Wszakże wiedz, że wszystkie te prace są tylko drogą do odpocznienia, do którego wszyscy dochodzą, choć siebie w pracy dosyć szanowali. Gdy tego osiągną, czego szukali, majątku i sławy, czci i wygody i różnej rozkoszy, to im się wydaje, że dosyć mają, w czymby się kochali. Przeto cię na zamek pociechy ludzkiej zaprowadzimy, abyś się przekonał, jaki cel wszystka ludzka praca ma“. To było dla mnie wielką radością, albowiem sobie wyobrażałem, że tam odpoczynek i pocieszenie umysłu znajdę.



ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Pielgrzym się dostał między gazeciarzy.

Przychodząc do bramy, widzę na rynku po lewej stronie gromadę ludzi. Wszędybył mówi: „O, tych tutaj minąć chyba nie możemy“. — „Cóż to tu mają?“ zapytałem wodza. On na to mówi:

„Chodź i oglądaj“. Przyszliśmy do nich, a oni stojąc co dwóch albo trzech, jedni przeciw drugim wywijają palcem, pokręcają głową, machają rękami, skrobią za uszami; wkońcu jedni od radości krzyczą, drudzy płaczą. „Co to oni robią?“ pytam się wodza. „Czy jaką komedję grają?“ — „Nie myśl, że to gra“, odparł przewodnik. „To rzeczy prawdziwe, jak się w świecie dzieją. Dla jednych są dziwne, dla drugich śmieszne, inni się znowu nad nimi gniewają, jak komu przypada“. — „Ja pragnę wiedzieć“, odpowiedziałem, „co to jest za sprawa, nad którą się jedni dziwią, inni śmieją, a inni gniewają“. Wtem patrząc, widzę, a oni jakieś piszczałki trzymają; jeden do drugiego chyli się i coś do ucha mu piska. Gdy dźwięk piszczałki był dla ucha miły, to się radowali, gdy był skrzypliwy i nieprzyjemny, to się otrząsali.

Bardzo mnie dziwiło, jak to być może, że dźwięk piszczałki jednej i tej samej był dla jednych miłym, iż się od tańców wstrzymać nie mogli, dla drugich tak przykrym, że zatuliwszy uszy uciekali, albo słuchając rzewliwie płakali. Rzekłem u siebie: „Toć to coś dziwnego, że jedna i ta sama piszczałka jednemu tak słodko, a innemu tak gorzko gra.“ Odpowiada tłumacz: „Nie różnica dźwięku, lecz różnica słuchu to robi. Jedno i to samo lekarstwo nie działa u wszystkich chorych jednako, według tego jaka jest choroba. Według usposobienia umysłu człowieka jest mu dźwięk piszczałki miłym albo przykrym.“

„A skądże się te piszczałki biorą?“ — „Zewsząd je przynoszą“, odpowiedział na to. „Czy nie widzisz oto sprzedawających?“ Spojrzawszy,

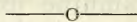
widziałem, jak chodzą i jeżdżą ludzie osobno na to powołani, aby te piszczałki rozpowszechniali. Jedni jeździli na prędkich koniach; od tych najwięcej ludzie kupowali. Inni chodzili pieszo, a nawet na kulach niektórzy się snuli. Od tych ludzie mądrzy najchętniej brali, bo powiadali, że te są pewniejsze.

Ja na te piszczałki nie tylko patrzałem, lecz też ich dźwiękom się przysłuchiwałem, tu i tam na chwilę się zatrzymując. Tak się przekonałem, że jest w tem coś nader lubego, słuchać takich dźwięków, które z rozlicznych stron nas dochodzą. Jedno mi tylko się nie podobało, mianowicie to, że niektórzy ludzie wszystkie piszczałki dla siebie brali, jakie tylko mogli uzyskać; a gdy nieco na nich pograli, to je znowu precz odrzucali. Z rozmaitych stanów tacy pochodzili. W domu ni na chwilę nie usiedzieli; na rynku prawie zawsze przebywali, czatując, czekając, a gdy gdzie co piskło, ucha nadstawiając.

Te rzeczy mi się niepodobały, gdym marność ich poznał. Często smutne dźwięki dały się słyszeć, wtenczas się wszyscy bardzo zasmucili. Za chwilę inny głos się odezwał, a z przerażenia powstały śmiechy. Niektóre piszczałki tak prześlicznie grały, że słuchający z radości płasali i uniesienia okrzyk wydawali. Wtem się dźwięk przemienił, albo ustawając, albo w przeraźliwe syki przechodząc, tak że się ludzie cieszyć przestali albo po prostu dreszczów doznawali. Było się tedy nad czem dobrze uśmieać, kiedy człowiek widział, jak ludzie za lada powiewiem wiatru w szaleństwo wpadają. Tych sobie chwaliłem, co na te szaleń-

stwa wcale nie zważając spokojnie swe prace wykonywali.

Była w tem wszelako pewna nieprzyjemność, jak sam spostrzegłem. Gdy kto na dźwięki naokoło siebie uwagi nie zwracał, to mu bardzo łatwo kto z otoczenia coś na kark zawiesił. Potem i o tem się przekonałem, że nie było wcale rzeczą bezpieczną, temi piszczalkami wiele się zajmować. Ponieważ ich dźwięki nie były jednakie dla wszystkich uszu, to stąd powstawały nieporozumienia, aż nawet do pięści i do szarpania się posuwano. Ba, mnie samego spotkała przygoda. Wziąwszy do ręki piszczalkę mającą dźwięk bardzo miły, podałem ją przyjacielowi swemu, aby na niej zagrał. Ale ktoś z obecnych wyrwał mi ją z ręki, rzucił o ziemię, podeptał nogami, wystawając na mnie, dlaczego się w sprawy innych ludzi wtrącam, porwał mnie za ramię i chciał za drzwi wyrzucić; ale ja widząc jego gniew ognisty, sam uciekałem. A ponieważ przywódcy moi dużo o ogrodzie Fortuny mówili, więc tam poszliśmy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Pielgrzym ogląda zamek Fortuny i przystęp do niego.

Gdyśmy się do tego grodu miłego już przybliżyli, ujrzałem zastępy ludu garnące się ze wszystkich stron miasta i szukające, jakby do grodu przystęp znaleźli i w górę do niego jakoś się do-

stali. Jedna tam tylko prowadziła brama wysoka i wązka; lecz ta się zapadła i cierniem zarosła. Imię jej było, zdaje mi się, Cnota. Ludzie mówili, że w dawniejszych czasach ona tylko jedna do grodu Fortuny prowadziła, ale potem jakaś przygoda zaszła, przy której się brama całkiem zawaliła. Więc jej zaniechano, podobno dlatego, że była przykrą i nieprzystępną; przeto innych mniejszych bramek narobiono. Przełamano mury i z jednej i z drugiej strony zrobiono niewielkie otwory. Przechodząc widziałem nad nimi napisy niebardzo pochlebne. Miały imiona: Obluda, Kłamstwo, Pochlebstwo, Nieprawość, Fortel, Przemoc i t. d. Gdym imiona czytał i wypowiadał, gniewali się na mnie, którzy tedy szli, szemrając i chcąc wyrzucić mię na dół, tak że musiałem zatulić usta. Patrząc spostrzegłem, że niektórzy jednak na tę starą bramę się udawali, przez rumowiska i gęste ciernie. Jedni z tych doszli do wytkniętego celu, ale inni nie; przeciwnie do innych wracali bram i tedy w górę się dobijali.

Wszedłem i ja, lecz przekonałem się, że gród stoi wyżej. Byłem na placu, gdzie mnóstwo ludzi stało wokoło, spoglądając w górę, boleśnie wzdychając. Pytam się, co robią? Odpowiedziano, że tu czekają, czy na nich Fortuna łaskawie nie spojrzy i do Zamku swego wpuścić nie zechce. „A czy się tam jednak wszyscy nie dostaną? Przecież wszyscy o to błagają!“ — Odpowiedziano: „Każdy się może do tego przyczynić, jak myśli i umie; lecz wkońcu wszystko od niej zależy, od Pani Fortuny, kogo zechce przyjąć, a kogo zaniechać. Możecie się przypatrzeć, jak się to

dzieje.“ Widzę, że wyżej już schodów nie było, tylko jakieś koło, które się toczyło. Kto się go ujął, tego wyniosło w górę na podłogę, gdzie Pani Fortuna mile go przyjęła i dalej wpuściła. U dołu nie mógł, ktokolwiek zechciał, uchwycić się koła, tylko taki człowiek, którego urzędnik Fortuny, Przypadek, do koła przywiódł i na niem osadził. Każdemu innemu się ręce poślizły. Przypadek chodził między kupcami; kto mu wpadł w oko, sadzał go na koło. Niektórzy mu się na oczy cisnęli, ręce podawali, prosili, zabiegi swoje, poty i mozoły, trudy poniesione, nawet blizny i inne zasługi swoje mu przed oczy jego stawiając. Ja sobie zaś myślę, że wprost chyba musiał być głuchy i ślepy, bo na osobę się nie oglądał, ani na prośby zupełnie nie zważał.

Byli tu ludzie z rozlicznych stanów, których tu pierwaj widziałem, jak bramą cnoty, albo też tą, ową poboczną bramą się dobijali, potu nie szczędzili, a jednak się szczęścia doczekać nie mogli. Inny nawet ani nie pomyślał, jak go przypadek za rękę ujął i w górę wyniosł. Z tych, co czekali, było wielu smutnych i bardzo tęskliwych, ponieważ na nich kolej przyjść nie chciała. Niejednemu włosy całkiem posiwiały; inni zupełnie nadzieję stracili. Nie licząc na szczęście do kłopotów swoich znowu powracali; inni zaś koniecznie swego dopiąć chcieli, w górę do ogrodu pragnęli się wdrapać. oczy na Fortunę błagalnie zwracając i ręce podnosząc. Czy tak czy owak położenie wszystkich szukających szczęścia było nadmiar nędzne, jak się przekonałem, opłakania godne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Pielgrzym się bogaczom bliżej przypatruje.

„Teraz chciałbym widzieć“, rzekłem do przywódcy, „co się na wierzchołku tej góry dzieje, jak Pani Fortuna swych gości traktuje.“ — „Dobrze!“ odpowiedział i wzniósł się ze mną do wysokości, gdzie pani Fortuna stojąc na kuli, korony, berła, pułki, łańcuchy, spinki i worki, tytuły, imiona, miody i cukierki rozdawała, a potem gości w górę wypuszczała. Patrzę ja tedy na budowlę zamku i widzę, że się w trzech oddziałach wznosił. Jednym gościom dano miejsce na parterze, drugich wyżej wiodą, a innych do wyższych pokojów prowadzą. Tłumacz mi powiada: „Na dole mieszkają, których Pani Fortuna pieniędzmi i miem uczyła; w pokojach nad tymi przebywają ci, którzy w rozkoszach życia się kochają; na wyższym piętrze zaś tacy mieszkają, co za sławą gonią. Tych Fortuna sama sławą otacza, aby się inni na nich patrzali, a chwałę i cześć im oddawali. Niektórym z gości życzy dwóch rzeczy, niektórym zaś wszystkich, a ci się wszędzie przechadzać mogą. Tak więc rozumiesz, jakie to szczęście, gdy się kto na zamek Fortuny dostanie“.

„A więc chodźmy“, rzekłem. „miedzy tych pierwszych“. Weszliśmy tedy do dolnych sklepów, lecz tam ciemno było i bardzo ponuro, tak żem z początku nic a nic nie widział. Uszu mych jakieś brzęki dochodziły, a zapach stęchlizny ze wszech kątów raził. Gdy mi się nieco wzrok przetaił, rozjaśnił, ujrzałem mnóstwo ludzi wszystkich sta-

nów w świecie; jedni chodzili, drudzy leżeli, jedni siedzieli, inni zaś stali; a każdy miał nogi spięte pętami, tudzież łańcuchem związane ręce. Niektórzy mieli i na szyi łańcuch, a na plecach jakieś nałożone brzemie. Strwożyłem się bardzo i krzyknęłam, wołając: „Cóż to, do licha? Czyśmy do więzienia jakiego weszli?“ — Tłumacz się roześmiał i tak do mnie mówi: „Boś ty niemądry. Przecież to są dary Pani Fortuny, którymi ona swych kochanych synów obdziela.“ Ja się przypatruję tym sławetnym darom, jednemu, drugiemu, trzeciemu, a widzę tylko stalowe pęta, żelazne łańcuchy, ołowiane albo gliniane nosze. — „A jakież to dary?“ powiadam; „o takie ja nie dbam“. — „Ale ty durniu! ty nie widzisz dobrze!“ odparł na to tłumacz; „przecież to wszystko jest z szczerzego złota“. Ja się przyglądam i rozpatruję, ale nic nie widzę, jak tylko żelazo i zwyczajną glinę. — „Ach, nie mędrkuj tyle“, burknął przewodnik; „wierz innemu więcej niż samemu sobie! Patrz, jak oni wszyscy te rzeczy cenią i ważą“.

Patrzę się i widzę cudo nie małe, jak się oni wielce w tych pętach kochali. Ten liczył ogniwa łańcucha swego, tamten je rozbierał i znowu składał. Inny swój łańcuch rękami ważył, inny długość jego na stopy rozmierzał. Inny go do ust cisnąc całował, inny przed mrozem, upałem i szkoda troskliwie chroniąc w chustki obwijał. W innym miejscu stali dwaj lub trzej gromadą, mierząc swe łańcuchy i ważąc na rękę, czyj będzie dłuższy, co do wagi cięższy. Gdy się kto przekonał, że jego łańcuch ma mniejszą wagę, to się nad tem smucił, bliźniemu zazdrościł; kto zaś miał cięższy, ten

chodząc wokoło pychą się nadymał i z bogactwa chlubił. Inni przeciwnie siedzieli w kącie cicho i skromnie, w cichości się ciesząc, w łańcuchach i pętach swych kochanie mając; nie dbali o to, by inni wiedzieli o ich bogactwach; bali się bowiem zawiści ludzkiej i nawet kradzieży. Inni mieli skrzynie pełne złotej rudy i drogich kamieni, które tam sam kładli; skrzynię otwierali i znów zamykali, na miejscu przykuci pozostawiając. Bali się bowiem, aby im złodzieje mienia nie zabrali. Niektórzy nawet skrzyniom nie ufali; przeto swych klejnotów tyle nabrali i na sobie nawieszali, że z tym ciężarem ni stać ni też chodzić nie mogli, tylko dysząc, chrapiąc na łożu leżeli. Widząc te rzeczy, rzekłem u siebie: „Naprawdę nie wiem, jak tych ludzi można nazwać szczęśliwymi? Gdym tam na dole pracę i niedolę ludzką oglądał, to nic tak nędznego nie znalazłem, jak to wasze szczęście“. Wszystkowiedź na to: „Jest w tem coś prawdy; trudno się sprzeciwiać. Gdy człowiek ma tyle darów Fortuny, których nie używa, to więcej przytem ma trosk, niż rozkoszy“. — „Lecz temu Pani Fortuna nie winna“, rzecze przewodnik, „gdy kto jej darów używać nie umie. Ona nie jest skąpą, jak niektórzy ludzie, którzy z mienia swego ani dla siebie ani dla bliźnich pożytku dobrego zrobić nie umieją. Gadał ty, co chcesz, jednak musisz przyznać, że w tem wielkie szczęście, gdy człowiek coś ma“. „O takie szczęście“, odpowiedziałem, „jakie ja tu widzę, najzupełniej nie dbam“.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI.

O rozkoszach świata.

Wszystkowiedz rzekł do mnie: „Chodźmy więc na górę; tam inne rzeczy uwidzisz, ręczę ci za to, same rozkosze“. Przyszliśmy po schodach do pierwszej sieni, a tu było kilka rzędów łóżek, miękkimi pierzynami wysłanych, kolebiących się. Na tych łóżach się ludzie rozwalali; koło nich stała służba z ogankami, wachlarzami i innemi tego rodzaju narzędziami, by muchy odpędzać i przewiew miły powietrza sprawiać. Gdy kto z leżących chciał z łoża powstać, natychmiast go obskakiwali, ze wszystkich stron ręce na pomoc wyciągali. Chciałli się ubierać, jedwabne szaty mu podawali; było się trzeba gdzie dostać, na stolicach poduszkami wysłanych go przenaszali. „A tu masz wygodę, jakiej sobie życzyłeś“, rzecze przewodnik. „Czegóż tu jeszcze więcej można żądać? Gdy tak człowiek wszystko dobre ma, o nie się nie stara, niczego się nie dotknie, a co dusza raczy, wszystkiego ma dosyć i podostatkiem, czy to nie błogosławieństwo od Pana Boga?“ — Ja na to rzekłem: „Weselej tu, prawda, niż tam na dole w owych męczarniach, ale i tutaj nie wszysko mi się zupełnie podoba“. „A cóż to znowu?“ odpowiedział na to. — „Że te leniuchy z oczyma wypukłemi, odętą głową, nabrzmiałym brzuchem, członkami tkliwymi, wyglądają jak wrzody na ciele człowieka. Gdy o nie zawadzisz, dotkniesz ich, poruszysz, lub gdy wiatr ostrzejszy koło nich po-

wionie, już zaraz ból czują. Stojąca woda, tak powiadano, gnije i śmierdzi; tej prawdy przykłady widzę na tych ludziach. Tacy ludzie pewnie życia nie użyją, oni je prześpią i w próżnowaniu całkiem zmarnują. Tych rzeczy nie pragnę“. — „Dziwny ty jakiś jesteś filozof“, odparł mój tłumacz.

Tak mię na inną sienį zaprowadzili, gdzie dla oczu i uszu nie mało znalazłem ponęty. Ogrody rozkoszne, stawy i obory były wokoło; była zwierzyna, ptactwo, ryby, była rozliczna piękna muzyka, a towarzystwa wesołego zgraja. Jedni sobie skaczą, drudzy gonia, inni tańczą, bawią się, szermują, grami się zajmują, i nie wiem, co wszystko oprócz tego robią. „To tu nie woda cicho stojąca“, rzecze przewodnik. — „To prawda“, ja odpowiadam; „lecz zostaw mię chwilę, aż się wszystkiemu dobrze przypatrzę“. Rozpatrzywszy się na te wszystkie rzeczy, odpowiedziałem: „Dużo tu macie rozlicznych rozrywek, ale temi człowiek ani łaknienia ani pragnienia nie zaspokoi. Gdy się przesyce, w inne strony biegnie, rozrywki szukając. Rozkosz taką małą mi się wydaje“. — „Szukasz rozkoszy w jedzeniu i piciu“, odpowiada na to, „to chodźmy dalej“.

Do trzeciej weszliśmy sieni; były tam stoły suto zastawione, a u nich wielki poczet biesiadników, wszyscy weseli i w dobrym humorze. Przystąpiwszy bliżej, widzę, że niektórzy ustawicznie jedzą i zalewają, aż się brzuch odął i żołądek pęka; chwilami przecie musieli spoczywać. Z innych znowu górą i dołem ciekło. Inni z potraw stołu tylko łakocie sobie wybierali, młaskając przytem językiem z rozkoszy i karku długiego

jak istna żerdź jeszcze naciągając, aby jak najdłużej smak potraw czuli. Niektórzy się chlubili, że od lat dziesięciu, nawet i dwudziestu wschodu i zachodu słońca nie widzieli, ponieważ nigdy nie byli trzeźwi, gdy zachodziło; a gdy wschodziło, nigdy do trzeźwości jeszcze nie wrócili. Nie siedzieli także tępi, zasmuceni, bo najróżniejsza muzyka huczała, do której oni głosy dołączali. Różnego ptastwa i zwierząt polnych głosy słyszeć było. Jeden wył, drugi ryczał, trzeci krakał, czwarty szczekał, piąty gwizdał, szósty śpiewał, siódmy jęczał, najdziwniejsze przytem robiąc grymasy.

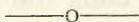
Tłumacz się pyta, jak mi się ta harmonia podoba? — „Ani trochy“, rzekłem. On zaś na to mówi: „A cóż ci tedy podobać się będzie? Czyś ty jaki pień, że cię nie na świecie poruszyć nie może?“ W tem mnie niektórzy w pobliżu stołu spostrzegli. Jeden mi przypija, drugi na mnie mruga, abym się przybliżył, dał wyjaśnienie, trzeci wywiaduje się, kto ja jestem i skąd przychodzę, czwarty wystaje, dlaczego nie rzekę: „Racz Pan Bóg żegnać!“ Ja się oburzyłem i odpowiedziałem: „Jeszczeby tam takim wieprzowym godom miał Bóg błogosławić!“ Lecz ani tych słów nie wypowiedziałem, już na mnie leciały talerze, półmiski, kufle i szklanki, jak gdyby grad padał, żem się ledwie na bok uchylił i porwawszy z miejsca precz uciec był w stanie. Łatwiej mi było jako trzeźwemu precz się wydostać, niż im opitym trafić w moje plecy. Tłumacz mój na to: „Czy ci nie mówiłem, abys trzymał zawsze język za zębami, nie mędrkował tyle? Stosuj się do ludzi, a nie będą na twe rozumy uważać“.

Wszędybył się zaśmiał i ujawszy mię za rękę rzecze: „Chodźmy tam raz jeszcze!“ ale ja nie chciałem. On dalej powiada: „Mogłeś się dobrze czemu przypatrzeć, gdybyś był milczał. Chodź tedy jeszcze, ale ostrożnie sobie poczynaj, stanawszy z daleka“. Dałem się nakłonić i znowu wstąpiłem. Po cóż się zapierać? Dałem się uwieść i przyszedłem znowu. Pozwoliłem wypić na moje zdrowie i sam puhar wina razem z nimi na swoje zdrowie wychyliłem, tylko dlatego, abym się bliżej wesołości owej przypatrzeć był w stanie.

Zacząłem jak inni nieco przyspiewywać, płasać i skakać; co oni robili, tom ja też robił. Ale to wszystko czyniłem nieśmiało, mając to uczucie, że takie rzeczy dla mnie nie przystoją, że się to nie godzi. Jedni się śmiali, widząc, że tego utrafić nie mogę, inni się burzyli, że tego nie robię, jak się należy. Mnie zaczęło nieco pod surdudem gryźć, pod czapką kłuć, coś mi nieprzyjemnie w gardle stanęło; nogi mi się chwiały, język się płatał, głowa mi kołem się obracała. Teraz się na wodza zacząłem oburzać, krzyczeć nań głośno, że to bydłeta są, a nie ludzie, a oburzenie moje się podniosło, gdym się rozkoszom owych rozkoszników bliżej przypatrywał.

Tu słyszałem, jak niektórzy narzekali, że im ani jedzenie ani picie nie smakuje, ba nawet do gardła iść nie chce. Inni się nad nimi ulitowali; a żeby im pomódz, musieli kupcy po świecie latać, szukając rzeczy, któreby do smaku im przypadaly; musieli kucharze robić, co umieją, aby potrawom dodać zapachu, koloru i smaku i tym sposobem wprowadzić do żołądka; musieli lekarze, by jedno

drugiemu ustępowało, z góry i z dołu sztucznie dopomagać. Dużo to pracy, dużo pieniędzy wszystko kosztowało, gdy te rzeczy do siebie włożyć i wlać mieli. Przy tem nie brakło wstrętu, ściskania, wymiotów, kurczów żołądkowych i innych tego rodzaju przykrości. Żle spali, chrzękali, kaszleli, z odętym brzuchem się poruszali, lub na pościeli się przewracali; cierpieli na podagrę, na nogach stanąć nie mogli, ręce się trzęsły, z oczu im ciekło, i inne podobne cierpienia mieli. „A to ma być rozkosz?“ zauważyłem. Lepiej stąd odejźmy, abym co więcej nie musiał powiedzieć i jakich za to doznać przykrości!“ Odwróciwszy oczy i nos zacisnąwszy dalej stąd poszedłem.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Losy ludzi stojących wysoko.

„Dla takich ludzi, którzy się tu dobrze zachowują“ — oświadcza dalej przewodnik — „ma Pani Fortuna jeszcze inny środek, aby ich uczcić nieśmiertelnością“. — „A jakiż to środek?“ — odpowiedziałem. „Bo to naprawdę jest coś nadzwyczajnego, zostać nieśmiertelnym. Pokażcie mi ten środek!“ Wszechwiedz się obrócił i na tymże placu na zachodniej stronie pokazał mi pewne podwyższone miejsce, czyli to występ pod szczyrem niebem wzniesiony. Z dołu był schodek, a przy nim drzwiczki. U tych drzwiczek siedział jakiś dziwny człowiek: pełno na nim było oczu i uszu, a Wszechsędzią go

nazywali. Kto chciał na wyższe miejsce się dostać, musiał się przed nim nie tylko zgłosić, lecz musiał przedstawić te wszystkie sprawy, dla których marzył o nieśmiertelności; jego sądowi musiał się poddać. Jeżeli w czynach jego, czy dobrych, czy złych, było cośkolwiek nadzwyczajnego, puszczano go w górę; gdy nie takiego nie znaleziono, zostawiano w dole. Jak się przekonałem, na to wyższe miejsce najwięcej ludzi ze stanu zwierzchności, żołnierzy, uczonych się dostawało; daleko mniej było z pośród duchowieństwa, z pośród rzemieślników i ludzi, co ciche prowadzą życie.

Raziło mię bardzo, że tam nie tylko dobrych wpuszczano, lecz więcej zgola jeszcze złych wchodziło, zbójców, tyranów, cudzołożników morderców, podpalaczy i cokolwiek złego w świecie nabroili. Oczywiście rzeczą było, że takie uznanie było zachętą dla ludzi nikczemnych, aby we złem trwali. Zdarzyło się nawet, gdy się jednego z przybyłych pytano, czem sobie zasłużył na wieczną pamiątkę, że ten odpowiedział, iż spalił i zniszczył, co najwspanialszego na świecie znalazł, a to świątynię ogromnych rozmiarów i nader wspaniałą. Siedmnaście królów przez lat aż trzysta z ogromnym nakładem ją budowało a on tę sławę w ciągu dnia jednego w perzynę obrócił. Sędzia się przeraził nad takim zuchwalstwem, uznał go niegodnym odszczególnienia i wzbronił przystępu na wyższe miejsce. Wtem przysła sama Pani Fortuna i rozkazała, aby go wpuszczono. Przykładem jego będąc zachęceni, nabrali inni otuchy i śmiało zaczęli wyliczać, co złego zrobili; jeden opowiada, ile krwi ludzkiej bez namysłu przelał, drugi jak bluźnił

i Bogu złorzeczył, inny że Boga na śmierć zasadził, inny że słońce z firmamentu zerwał i w otchłań rzucił inny że nowy związek morderców i podpalaczy utworzył, za których pomocą pokolenie ludzkie do połowy zgładzi. I wielu ich jeszcze o podobnych zbrodniach opowiadało; ale mnie te rzeczy były bardzo wstrętne.

Wszedłem tam za nimi, a tu mię zaraz jakiś urzędnik Pani Fortuny przyjmuje. Nazywał się **Powieś** i miał na sobie tylko same usta. Jak ten tam na dole miał tylko same oczy i uszy, tak na tym były usta i języki ze wszystkich stron. Od nich wychodził wrzask i krzyk niemały. Kto nieśmiertelnej miał dostąpić sławy, tyle na tem zyskał, że imię jego na wszystkie strony głośno zabrzmiało. Słuchałem dłużej tego rozgłosu i wkrótce poznałem, że nie długo trwało, a te okrzyki znowu przycichły i znowu o innych rzeczach rozmawiano. A to mi nieśmiertelność — pomyślałem sobie. — „Każdy z tych ludzi na chwilę słynie a potem więcej na niego nie spojrzą, o nim nie mówią i wcale nie myślą“. — Tłumacz rzekł, mówiąc: „Wszystkiego ci mało! To się przynajmniej na tych tam przypatrz!“ Obejrzawszy się, widzę malarzy, którzy, siedząc na krzesłach, niektóre z tych osób malowali na płótnie. Pytam, co to znaczy. Odpowiedziano: „Głos i słowo ludzkie za chwilę przebrzmi, lecz taka pamiątka zawsze pozostaje“. Patrzę, a oto, kogo wymalowali, precz wyrzucają. Obraz tylko zachowują; a żeby go ludzie widzieli, na drażku go noszą. „To mi nieśmiertelność“ — rzekłem u siebie — „człowieka wyrzucić, aby nędznie zginął, a malowidło tylko zachować. Nie to innego, jak dziwne szaleństwo.

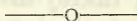
Cóż dla mnie z tego, że sobie ktoś papier moją podobizną zamalował, a ze mną się potem, kto wie, co stanie? O to ja nie dbam“. — Co słysząc tłumacz surowo mnie złajał, pytając, co takim rozumowaniem osiągnąć zamierzam?

Milczałem tedy, aż tu oto naraz nowe kłamstwo widzę. Napotykam obraz pewnego człowieka, którego w życiu widziałem, krasnego i wspaniałego; w obrazie wyglądał, jak istny potwór. Przeciwnie, ujrzałem obraz człowieka, który w życiu bardzo był pospolitym; na obrazie wyglądał jak cudo piękności. Niektórym ludziom dali dwa obrazy, trzy, nawet i cztery, a każdy nieco inaczej wyglądał. Nie wiedziałem co o tych malarzach myśleć, albo ich niedbałość albo umyślne fałszowanie rzeczy było powodem takiej nieprawdy. Także mię marność tych rzeczy razila. Jedne obrazy były zaczadzone, okryte kurzem, spróchniałe i zgniłe, tak że nie poznałeś, kogo przedstawiają; inne znów kupami leżały na ziemi tak że ich nikt nigdy dojrzeć nie był w stanie. Tak więc wyglądała sława tego świata.

Miedzy tem przyszła Pani Fortuna i rozkazała, aby niektóre stare i wiotche precz wyrzucono. Z temi też dużo nowszych obrazów poszło na zniszczenie. Tak zrozumiałem, ile nieśmiertelność tego świata warta. Fortuna jest zmienna, jej umysł niestały. Dziś wezwie człowieka, aby na jej grodzie miał przebywanie; jutro umysł zmieni i precz go wyrzuci. A przeciw takiej zmienności umysłu niczem się, człowiecze, nie ubezpieczysz. Widząc te rzeczy, takiego do nich nabyłem wstrętu, że mi ekliwo było. Fortuna dziwnie z synami swymi się obchodziła;

po zamku z nimi się przechadzała, rozkosznikom rozkoszy, bogaczom bogactw to przydawając, to znowu ujmując jak się podobało. Byli też tacy, którym wszystko odebrawszy, precz ich z zamku swego w świat wyrzuciła.

Śmierć mię i tutaj trwogą napawała. Widziałem bowiem, jak przychodziła, jednego po drugim wyprowadzając. Tylko że się to działo nierównym sposobem. Na bogaczów strzały swe wysyłała, albo przykleknawszy i łańcuchem złotym ich otoczywszy, dusiła; rozkosznikom w ciastka nasypała jadu; mocarzów i ludzi sławnego imienia zrzucała z góry, by szyję złamali, lub ich na kordy, rusznice i miecze pędziła, gdzie wskutek odniesionych ran marnie ginęli.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTYCZWARTY.

Pielgrzym zaczyna tracić zaufanie i z wodzami swymi się sprzecza.

Tak mię strach ogarnął, że nigdzie na świecie, ani na tym zamku pocieszenia niema, bo nic nie znalazłem, czegoby się serce śmieie, bezpiecznie i całkowicie trzymać było w stanie. A ta myśl mi wielki smutek sprawiała, z którego mię tłumacz napróżno wyrwać się usiłował. W końcu zacząłem skarżyć się, narzekać: „Biada mnie nędznemu! Czy już na tym świecie niczego nie znajde, coby serce moje pocieszyć mogło? Przy każdej sprawie widzę tylko ucisk i utęsknienie“. „A któż temu!

winien, jeżeli nie ty sam, dziwny grymaśniku?“ — rzekł na to mój tłumacz. „Wszystkiem się brzydzisz, co ci ma sprawiać radość. Spójrz na innych, jak każdy w swym stanie jest dobrej myśli, dosyć słodczy w sprawach swych znajdując“. — „Chyba są niemądrzy, albo kłamią“ — odpowiedziałem — „bo żeby prawdziwie szczęśliwymi byli, wcale być nie może“. — „A więc i ty tak czyn“ — rzecze Wszędybył — „znajdziesz pewną ulgę w swem utęsknieniu“. Odrzekłem na to: „Tego ja nie umiem! Pomnij, kilkakrotnie rzeczy badałem, a wszędzie znalazłem, że się zmieniają i kiepsko się kończą“.

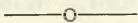
Tłumacz rzekł do mnie: „Co to fantazya u ciebie nie robi! Gdybyś tak w ludzkich sprawach nie przebierał i rzeczami świata tyle nie pomiatał, to byłbyś, jak inni, co mają umysł zupełnie spokojny i szczęścia, radości w życiu doznawają“. — „Musiałbym chyba równie tak jak ty“ — odpowiedziałem — „w zewnętrznych rzeczach tylko się zatopić; uśmiech przypadkowy poczytać za radość, przejście ksiąg kilku uważać za mądrość, a gdy choć trochę szczęście mi sprzyja, mieć to już za szczyt zadowolenia. Ale cóż zacznę z potem i ze łzami, z jękiem, narzekaniem, z niedostatkami i różnem nieszczęściem, którym we wszystkich stanach ni końca ni liczby znaleźć nie mogłem? Albowiem biada i znowu biada! życiu naszemu. Powiedliście mi wszędzie wokoło — ale cóż mnie z tego? Obiecywaliście bogactwo, naukę, rozkosz pocieszenie — a cóż ja mam z tego? Nic, a nie! Co ja teraz umiem? Nic, a nie. Gdzie jestem? Sam nie wiem. To tylko wiem, iż po tylu próbach, po tylu pracach i niebezpieczeństwach, jakie przechodziłem, po tak

wielkiem wysileniu umysłu i sił wytężeniu nic nie znalazłem, jak w sercu swem boleść, u bliźnich nienawiść“.

Tłumacz na to: „Na to zasłużyłeś. Dlaczegoż nie czynisz, jak ci radziłem? Od pierwszej chwili na to nalegałem: „Nic nie podejrzawać; wszystkiemu wierzyć; niczego nie próbować, ale wszystko przyjąć: nic nie potępiać, wszystkiemu sprzyjać. Droga taka byłaby przyjemną, byłbyś nią kroczył bez nieprzyjemności; ludzie byłiby tobie sprzyjali, a w własnem sercu byłbyś spokojny i zadowolony“. Na to ja rzekłem: „Bez pochyby w twojem będąc ośmianieniu byłbym jak inni marzył, siebie zapominał, byłbym pod jarzmem wszelkich sił dodawał, a przytem płasł i się radował. Lecz teraz widziałem i poznałem prawdę, że niczem nie jestem, nie też nie umiem, ani też nic nie mam, a nie tylko ja, ale wszyscy ludzie. My tylko mamy takie urojenia. My cień chwytny, prawda zaś wszędzie przed nami uchodzi. Ach, nędzniż my ludzie!“

Tłumacz mi na to: „Co powiedziałem, jeszcze raz powtarzam. Twoja w tem jest wina. Żądasz rzeczy wielkich i nadzwyczajnych, jakie się nikomu w życiu nie dostają“. — „Tem mocniej boleję“, odpowiedziałem, „że nie sam tylko jestem tak biednym, ale że całe pokolenie moje w nędzy się znajduje, choć o tem nie wie“. Tłumacz odpowiedział: „Już ja teraz nie wiem jak życzeniu twemu zadość uczynić. Głowa twoja jest całkiem obalamucona. Jeżeli ci się ani świat, ani ludzie, ani praca, ani próżnowanie ani nauka ani umiejętność, słowem nic a nie w świecie nie podoba, to ja już nie wiem, co z tobą zacząć i co ci polecić“.

Wszędybył na to: „Zawiedźmy go jeszcze na zamek Pani Królowej naszej, tam chyba jeszcze się opamięta“.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

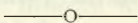
**Pielgrzym rozpatruje się po zamku Mądrości,
królowej świata.**

I tak mię prowadzą. Jak ślicznie zamek przedstawiał się oku, na zewnątrz wszystkek był pomalowany. Brama była obsadzona stróżami, którzy nikomu nie dali przystępu, jeżeli nie miał władzy lub urzędu w świecie. Takim tylko było wolno wejść do wnętrza zamku, krom służebników Pani Królowej którzy jej rozkazy wykonywali. Gdy kto inny chciał się na zamek popatrzeć, to tylko zewnętrzne mury jego widział. Lecz i takich gapiów dosyć widziałem, którzy otwartemi usty patrzyli więcej, niż oczyma. Że mię do bramy zamku prowadzili, było mi przyjemną; byłem też ciekawy na te tajniki, jakie Mądrość świata u siebie chowa, i czy będę w stanie je wyrozumieć.

I tutaj nie miałem być bez przygody. Stróże mię otoczyli i zaczęli badać czego ja tu szukam. Na oczy wkładają mi okulary i uprząż jakąś na głowę dawają. Lecz Wszędybył, znany na zamku Mądrości, coś do nich szepnął, za rękę mię ujął i aż na pierwszy plac zaprowadził.

Patrząc na samą zamku budowę, widzę ściany jego lśniące, jak śnieg białe. Powiadali, że są z ala-

bastru; lecz ja się patrząc, ręką dotykając, tylko papier widzę a tu i ówdzie małemi szparami przebija kądziel, z czego się domyślam, że ściany są puste, wypchane szmatami. Widząc takie kłamstwo, musiałem się zaśmiać. Przyszliśmy ku schodom, po których się gdzieś w górę wychodził; nie miałem odwagi puścić się na nie, lękałem się aby ze mną nie runęły. Serce przeczuwało, że mię tam spotka coś nieprzyjemnego. Ale tłumacz nagli, wołając: „Mój miły, co znowu znaczą te fantazyje? Bój się prędzej tego, aby się niebo nie zawaliło; widzisz przecie mnóstwo rozlicznych ludzi, co po nich idą w dół i do góry“. Patrząc na tych ludzi, i ja się puściłem krętymi schodami w górę wysoko, ale się bałem zawrotu głowy.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTYSIÓDMY.

Pielgrzyma w pałacu Mądrości oskarżono.

Wiedli mię potem na jakąś sien wielką, gdzie mię najprzód światło jakieś nadzwyczajne olśniło, nie tylko dla tego że było dużo bardzo wielkich okien, ale jeszcze więcej dla drogich kamieni, którymi ściany były wysadzane. Na podłodze drogie były kobierce, lśniące się od złota. Zamiast powały był jakiś obłok, czyli też mała chmura, czego nie mogłem dobrze rozeznąć, ponieważ mi się oczy natychmiast na miłą królową precudnej piękności zwróciły. Na wysokiem siedziała miejscu, nad nią się wznosił wspaniały baldachin; koło niej stali

radcy, służebnice i orszak wspaniały nadwornej jazdy. Na widok tej chwały serce mi zadrżało, zwłaszcza gdy wszystkie na mnie patrzyły. Wszędziebył rzekł do mnie: „Nie bój się niczego; przystąp nieco bliżej, aby cię Jejmość Królowa widziała. Serca nie trać wcale, ale grzeczności nie zapominaj!“ A tak mię zawiódł aż na środek sali i nisko mi się uklonić rozkazał, co ja uczynilem, choć nie wiedziałem, jak się na to dobrać.

Tłumacz, który mi się bez mojej woli wodzem narzucił, zabrał głos i rzekł: „Najjaśniejsza Pani, Królowo świata! Promyku Boży precudnej jasności! Wielebna Mądrości! Tego młodzieńca przyprowadziliśmy przed oblicze Twoje. Od namiestnika Twojego, Przypadku, dostał na swe szczęście ściśle pozwolenie do przeglądania stanów i porządków, jakie w tem sławnem królestwie świata, od samego Boga Tobie powierzonom, są zaprowadzone i od kończyn ziemi aż do jej kończyn mają znaczenie. My zaś, cośmy według wyraźnej woli Twojej jego przewodnikami ustanowieni zostali, oprowadzaliśmy go przez wszystkie stany i wszystkie zrządzienia mu pokazaliśmy. Z pokorą jednak i boleścią serca wyznać musimy, że mimo wszelkiej wiernej i uprzejmej pracy i usiłowań naszych nie byliśmy w stanie do tego przywieść, aby sobie pewien porządek obrał, w nim się osadził, i jako inni, wiernym i posłusznym poddanym Twym został. Ustawicznie i przy każdej sprawie za czemś on tęskni, wszystko mu się przykrzy i nie wiedzieć, czego żąda i szuka. My dziwnym żądaniom tego człowieka nie rozumiemy, ani zaspokoić ich nie możemy; przeto go przed Twą Wielebną Jasność stawiamy. Niech

Wysoka mądrość Twoja zechce nam poruczyć, jak z nim postąpimy“.

Gdym te rzeczy słyszał, serce mię bolało, jak każdy sobie wyobrazić może. Widziałem bowiem, że mię tu na sąd zaprowadzono. Bałem się nie mała, szczególnie gdym widział u tronu królowej leżącą jakąś straszną bestyę; czy to był pies, czy ryś, czy drak jaki — nie wiem; tylko się mu oczy okropnie iskrzyły, gdy na mnie patrzył. Trzeba tylko poszczuć, a już na mnie skoczy. Stali też rycerze, drabanci królowej, dwaj w żeńskim ubraniu, olbrzymi i groźni, a szczególnie jeden, który był po lewej. Miał pancerz żelazny, kolczasty jak jeź; tego się dotknąć nie było można. U rąk i u nóg były paznogie ze szczerej stali, w ręce jednej trzymał oszczep i miecz, w drugiej zaś miał łuk mocny i ogień. Ten drugi rycerz nie był taki groźny; więcej się śmiesznym wydawał. Zamiast pancerza miał na sobie kozuch ze skóry lisiej, sierścią na zewnątrz; zamiast helebardy trzymał ogon lisi, a w lewej trzymał gałąź z orzechami, którą potrząsał.

Tłumacz, a raczej zdrajca, zakończył mowę. Królowa, której twarz była welonem okryta, ważnemi słowy się odezwała: „Piękny młodzieńcze!“ — tak powiedziała — „żeś sobie umyślił i tego pragnął wszystko na świecie przegłądać i zbadać, dość mi się podoba. Ja sama lubię, gdy najmilsi moi tak postępują i chętnie przez służebniki i służebnice swoje do tego pomagam. Lecz tego o tobie nie lubię słyszeć, że strasznie przebierasz i siebie samego masz za dobranego. Będąc wśród świata wcale nowym gościem, trzeba ci się uczyć, a ty w mędrkowania tylko się wdawasz. Mogłabym z tobą surowo

postąpić i tym sposobem dać innym przykład surowej karności; ale ja wolę dawać przykłady zgody i dobroci, niż surowej kary. Przeto pozwalam być jeszcze dłużej na zamku zabawił i lepsze powziął wyrozumienie o tutejszych sprawach. Czy będziesz umiał tej łaski mej ważyć? Pomnij u siebie, że nie każdy człowiek się tutaj dostanie, na te tajne miejsca, gdzie się dekrety i wyroki świata ustanawiają“. To powiedziawszy, ręką skinęła, a ja w myśl wskazówki na bok ustąpiłem, zupełnie ciekawy, co to dalej będzie.

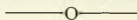
Stanąwszy na boku, pytam się tłumacza, jakie tytuły ci radcy mają, jaka ich ranga i jaka powinność? Odpowiedział na to: „To są tajni radcy, co najbliżej stoją Jej Królewskiej Mości; po prawej stronie: Czystość, Pilność, Ostrożność, Rozwaga, Uprzejmość, Wstrzemięźliwość. Po lewicy są: Prawda, Gorliwość, Prawdomówność, Męstwo, Cierpliwość, Stałość. Wszystkie te radczynie stoją koło tronu królowej swojej, tak jak przystoi“.

„Które na niższych stopniach się znajdują, są urzędniczkami i namiestniczkami królowej świata. Ta w szarej sukni, przepasana, jest namiestniczką, na dolnej stronie, nazywa się Industria, Pilność; ta w złotogłowie, z haftowaną falbaną i wieńcem na głowie — już ją gdzieś widziałem — jest namiestniczką na zamku błogosławieństwa i zwie się Szczęściem. Obydwie z swemi pomocnicami bawią raz tam a znów tu, w miarę tego, gdzie trzeba wydawać rozkazy i przyjmować zdania. Z tych namiestniczek ma znowu każda swoje podwładne. Po stronie Pilności jest Miłość, co rządzi stanem małżeńskim, Dowcipność, potrzebna w stanie uczonych,

Nabożność, co rządzi w stanie duchowieństwa, Sprawiedliwość u zwierzchności, a w wojsku Waleczność“.

Słyszając te imiona, wszystkie tak śliczne, a widząc, jak w świecie wszystko jest inaczej, byłbym chętnie na to nieco powiedział, ale się bałem; przeto u siebie tylko pomyślałem, a mianowicie: „Dziwna to sprawa jest na tym świecie: Król — kobieta; radcy — kobiety; urzędnicy — kobiety! Cały rząd kobiecey! Któż się ich bać będzie?“

Zapytam się jeszcze o tych dwóch drabantów, na co są potrzebni? On odpowiada, że i Jej Mość Pani Królowa ma swe nieprzyjacióły i zasadniki, od których się strzedz i warować trzeba. Ten drabant, mający lisie ubranie, nazywa się Chytrość; on drugi z ogniem i mieczem w ręku zowie się Potęgą. Gdy jeden za słaby, to drugi broni a tak obydwaj się wyręczają. Zamiast strażnika mają koło siebie ogromnego psa, który zacznie szczekać i wypędzać z miejsca, gdy podejrzana osoba się zbliża. Lecz ty się na rzeczy tyle nie oglądaj, lepiej uważaj, co się dzieć będzie“. „Chętnie tak zrobię“, odpowiedziałem.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY.

Salomon z wielkim orszakiem przybył na pałac.

Gdy chciałem posłuchać, co się to dzieć będzie, w tem powstał szum dziwny i zgiełk nie mały. Wszyscy się patrzą, co to znaczyć może; patrzę też i ja, a tu widzę postać o niezwykłym blasku! Na głowie korona, w ręku złote berło a za nim zastęp

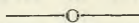
rycerstwa na koniach. Jadą na pałac królowej Mądrości. Wszyscyśmy zdumieni na nich patrzali. Po-
stać królewska wystąpiła naprzód; oczy zgromadze-
nia zwróciły się na nią, wszystkie, a więc i moje. Zabrawszy głos mówił, że Bóg Najwyższy tem go zaszczycił, iż mu pozwolił przejrzeć sprawy świata i zbadać takowe z większą swobodą niż uczynić mogli, co przed nim byli i po nim nastaną, tudzież by Mądrość, która światem rządzi, za żonę pojął. Tej tedy szuka i po nią przyjechał. Oznajmił swe imię, że jest Salomonem, królem sławnego w świecie narodu izraelskiego.

Na to Opatrzność, kanclerzyna państwa, od-
powiedziała: „Mądrość jest małżonką samego Boga, przeto nikogo poślubić nie może. Wszelako przyja-
źni mu nie odmawia, jeśli się taką zadowolić zechce“. Na to rzekł Salomon: „Tu sobie usiedę i zostanę siedzieć, aż się przekonam, jaka jest różnica między mądrością i między błazeństwem, albowiem nie mi się nie podoba z tych wszystkich rzeczy, które się dzieją pod słońcem.“

Gdym to usłyszał, bardzo się uradowałem, że już przecie, da Bóg, innego wodza i radcę dostanę, jak dotąd miałem. Przy nim, myślałem, będzie mi bezpieczniej i lepiej wszystko będę mógł zbadać, a dokąd on pójdzie, tam ja za nim pójdę. Tak w sercu mojem Boga wysławiałem.

Salomon miał z sobą zastęp przyjaciół, którzy przybyli, by się o mądrości Królowej świata sami przekonali. Byli koło niego mężowie zacni, ważnych cnót pełni; byli, jak rzeczono, patryarchowie, pro-
rocy, apostołowie, wyznawcy i inni. Tak się ci mężowie sami nazywali. W ostatnich szeregach byli

niektórzy z liczby filozofów, Sokrates, Platon, Epiktet, Seneka i jeszcze inni. Ci wszyscy po bokach miejsca zajęli, a ja razem z nimi, albowiem bardzo byłem ciekawym, co to teraz będzie.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY I DZIEWIĄTY.

Pielgrzym się tajemnym sprawom i sądom świata przypatruje.

Prędko przyszedłem do zrozumienia, że się tu tylko publiczne sprawy, odnoszące się do całego świata, ustanawiają. Sprawy poszczególne w osobnych miastach, ratuszach i sądach tudzież konsystorzach idą pod obrady. Co się tu działo w mej obecności, wkrótce oznajmię.

Najprzód wystąpiły urzędnice świata, Pilność i Fortuna, donosząc o nieporządkach, jakie się we wszystkich stanach pojawiają, a to wskutek niedowierzania, fortelów, wymysłów i wszelkich podstępów wśród publiczności. Żądały te panie, aby to wszystko jakoś poprawiono. Bardzo się cieszyłem, widząc, że same na to przychodzą, na com i ja przyszedł, mianowicie do przekonania, że na tym świecie porządku nie ma. Tłumacz odgadnąwszy myśli serca mego, rzekł: „Ty pewnie myślałeś, że sam tylko widzisz, a inni krom ciebie oczu nie mają; a oto, osoby na to powołane jak pilnie na wszystko nieustannie dbają!“ — „Ja z przyjemnością te rzeczy słyszę“, odpowiedziałem. „Daj tylko, Boże, abyśmy z nich jaką drogę znaleźli.“

Radczyńnię się zeszły celem narady i porozumienia, a przez Opatrzność, kanclerzyne świata, kazały się pytać, czy da się zbadać, kto temu winien? Po długich badaniach i dochodzeniach ogłoszono skutek swych usiłowań, którym stwierdzono, że się do kraju jacyś burzyciele i hersztowie wkradli, którzy potajemnie, a nawet jawnie pokój i porządek w niwecz obracają. Największą winę Obżarstwu, Pijaństwu, Lichwie, Pysze, Okrucieństwu, Łakotliwości, Lubieżności, Lenistwu, Niedbalstwu i niektórym innych podobnym przypisują żądzom.

Długo się o tem toczyły rozprawy; wkońcu wynik śledztwa spisano i przeczytano. Wydano patenty, które w pewnych miejscach wywieszono i przybito, a nawet po całym kraju rozesłano. Tymi zostało światu ogłoszonem, że dużo przybłędów włóczy się po kraju i zgubne na naród wywierają wpływy, mianowicie: Obżarstwo, Pijaństwo, Łakomstwo, Lubieżność i t. p. Tych na wieczne czasy wydala się z kraju i więcej nie śmia zjawić się na oczy. Gdyby się który z nich wrócić odważył, to na gardle śmiercią karany będzie. Gdy taki wyrok światu ogłoszono, trudno uwierzyć, jaka była radość i uniesienie wśród całego ludu, bo każdy myślał — równie też i ja — że całemu światu złoty wiek zawita.

To nie trwało długo. Gdy ludzie widzieli, że się nie w świecie nie poprawiło, przyszli ze skargami, że nikt wyroku nie wykonywa. Zebrała się rada i ustanowiła dwu komisarzy, by nad porządkami miasta czuwali; byli nimi Niedbalski i Przebaczliwy, a za pomocnika przybrali Mierność. Ci mieli zdać sprawę, czy wypędzeni znów nie wrócili, albo zupełnie z miejsca nie wyszli. Zbadawszy spra-

wę donieśli do rządu, że są w społeczeństwie ludzie podejrzani i bardzo podobni do wykluczonych, ale powiadają, że o wyroku wypędzenia z kraju nie nie słyszeli, ani banitami się nie nazywają. Jeden do Ożralstwa jest bardzo podobny, ale ma imię „Wesołość“. Drugi wygląda tak jak Łakomstwo, ale się nazywa „Oszczędność“. Trzeci wygląda prawie jak Lichwa, lecz ma imię „Pomoc“; czwarty jest podobny do Lubieżności, ale u ludzi słynie jako Miłość; piąty jest prawie taki jak Pycha, ale wśród ludzi słynie jako „Ważność“; szósty podobny do Okrucieństwa, ale go zowią „Ostrością“; siódmy wygląda prawie jak „Leninstwo“, ale go zowią „Powolnością“ i t. p. Gdy te rzeczy roztrząsano w radzie, zapadła uchwała, że Wesołość nie jest Ożralstwo, ani Oszczędność Łakomstwo itp. Aby więc osoby wyżej wymienione swobodnie wszędzie występować mogły, uchwalono w radzie, że się wyrok opuszczenia kraju do nich nie odnosi. Gdy to ogłoszono, wszyscy się swobodnie pośród obywateli uwijali, a zgraja szła z nimi im towarzysząc, ich naśladując. Patrzą i widzę, jak Salomon mądry i koledzy jego głowami chwieją; lecz gdy milczeli, i ja milczałem, tylko na boku słyszałem, jak jeden do drugiego szeptał: „Imiona wypędzili, lecz zdrajcy i łotrzy zmieniawszy swe nazwy, wolny przystęp mają. Nie będzie z tego wiele dobrego“.

Wtem przyszedli posłańcy, od wszystkich stanów świata wyprawieni, i proszą, by ich Pani Królowa wysłuchać raczyła. Weszli na salę z komplementami i ukłonami, prosząc pokornie, by Jej Mość Pani Królowa raczyła łaskawie wspomnieć, jak wierni zawsze i jak posłuszni wszyscy bywali, jak wszystkie stany berłu Królowej wiernie podlegały i na

swych prawach i obowiązkach ściśle przestawali. A tych samych zasad będą się także w przyszłości trzymali; tylko mają jedną prośbę i życzenie, której ze względu na dawne i przyszłe ich zachowanie Jej Mość Królowa nie zechce odmówić. Proszą o łaskawe zwiększenie swobód i przywilejów, jakby się Łaskawej Królowej wydało. Za wyświadczenie dobrodziejstwa tego stałe posłuszeństwo i wdzięczność bez granic okazywać będą. To powiedziawszy z pokorą na bok ustąpili. Ja przetarłszy oczy, rzekłem u siebie: „Cóż to tedy będzie? Czy świat i tak już dosyć swobód nie ma, że zawsze jeszcze więcej ich mieć chce? Uzdy wam trzeba! Uzdy a bicz, nie nowych swobód!“ Lecz to u siebie tylko pomyślałem, bo postanowiłem i słowa nie rzec, w obecności mędrców i sędziwych starców, którym należało te rzeczy oceniać.

A znowu się na naradę zeszli. Po długich rokowaniach kazała oznajmić królowa, że jej zawsze o to chodziło, aby królestwo wznieść i zbudować; a do tych rzeczy zawsze była skłonna. Słyszac więc życzenia poddanych swoich chętnie je uwzględni. Postanowiła przydać im tytułów, którymiby jedni wyżej drugich byli, w miarę swych zasług około tronu. Odtąd rzemieślnicy powinni być „sławni“, studenci „oświeceni“, doktorowie „najuczeńsi“, księża „wielebni“, biskupi „najświętsi“ i t. d. „Aby to nasze rozporządzenie było tem pewniejsze, polecamy wszystkim, aby nikt listu nie musiał przyjać, na którym tytuł jego zupełny nie jest wypisany“. Wyśłańcy złożyli podziękowanie Królowej swojej najmiłościwszej i poszli do domu. Ja zaś u siebie pomyślałem, mówiąc: „Dużo zyskaliście! Kreski na papierze“.

Wniesiono prośbę ubogich stanów, w której się biedni bardzo żalili, że inni ludzie wielką hojność mają, gdy tymczasem oni „tylko biedę klepią“. Żądali usilnie, by tej nierówności koniec położono. Gdy się nad sprawą zastanowiono, taką odpowiedź wystosowano: „Najmiłościwsza Królowa wszystkim poddanym życzy najlepszego szczęścia, ale powaga królestwa wymaga, aby się jedni nad drugimi blaskiem odznaczali. Dla prawa w świecie ustanowionego nie może inaczej być tylko tak, że Fortuna ma zamek, a Pilność miejsce dla własnej pracy. Wszelako daje się pozwolenie, by każdy jak może z ubóstwa się podniósł“.

Gdy się dowiedziano o tej odpowiedzi, przyszli po małej chwili znów inni, mając z sobą prośbę ludzi gorliwych i do pracy skorych, w której prosili, by do czego dążą, wszystkiego swą pracą tylko osiągli. ślepem zaś szczęściem aby nie nie poszło. Długo nad tą prośbą debatowano, z czego zrozumiałem, że sprawa nie łatwo dała się rozstrzygnąć. W końcu uchwalono, że Szczęściu nie można odebrać prawa, które posiada, ale na to będą mieli uwagę, aby się nie-dbalcom nie wiódłło lepiej niż ludziom pilnym i zapobiegliwym.

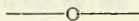
Od niektórych osobliwszych ludzi wysłani przyszli dwaj mężowie, Theophrastus i Aristoteles, dwóch dla siebie rzeczy się domagając. Najprzód żądali, aby nie byli tym samym przygodom poddani jak inni. Dalej żądali tego przywileju, by nie musieli być poddani śmierci ani umierać jak inni ludzie, kiedy ich Pan Bóg takim szczególnym dowcipem, talentem, nauką obdarzył, jakie u ludzi wielką są rzadkością. Pierwsze żądanie uznano za słuszne;

wskutek czego im pozwolono, aby jak mogą, chronili się przygód i nieszczęśliwych wypadków życia, uczeni nauką, ostrożni uwagą, mocni mocą swoją, bogaci bogaństwem; co do drugiego żądania mędrców, to Królowa Mądrość dała polecenie, by najznakomitszych chemików zwołano, a ci niech ze wszelką pilnością szukają takiego środka, któryby człowieka ochronił od śmierci. Gdy to uchwalono, mędrcy się rozeszli. Wysłańcy czekali długo na odpowiedź i kilkakrotnie się jej domagali. Wkońcu odeszli z tem zapewnieniem, że skoro lekarstwo od śmierci się znajdzie, z pewnością im najprzód doreczone będzie.

Za niedługo potem przyszli wysłańcy, od poddanych, rolników i rzemieślników z narzekaniem, że przeżożeni z potu ich żyją; że muszą gonić, trapić się okropnie, aż krwawy pot płynie. A którzy nad nimi są postanowieni, sami najbardziej ich napędzają, aby dla siebie z tego zyski mieli. Na dowód tego pokazywali rany i sińce, blizny i znaki, prosząc o litość i miłosierdzie. Zdało się być jasną, że się to nie godzi, i ustanowili, aby to ustało. Gdyż jednak zwierzchność za pośrednictwem służebników rządu, więc znowu uznano, że ci są winni. Rozkazano tedy, aby ich zgromadzić. Pobiegli gońcy do wszystkich królewskich, książęcych i pańskich radców, rejentów, pisarzów, wójtów i urzędników, aby nie zwłaczając natychmiast przyszli. Jak rozkazano, tak się też stało. Lecz gdy jedną skargę wypowiedziano, to z przeciwnej strony stanęło ich dziesięć. Skarżono się na lenistwo poddanych i nieposłuszeństwo, odporność i pychę i inne niecnoty; opowiadano, że gdy się im trochę uzdy popuści, to już nie ma rady. Gdy te wywody wypowiedziano, da-

no znać poddanym, że gdy sobie łaski i miłości panów ważyć nie umieją, to niech lepiej wszystko zostanie, jak było, bo to na świecie nie idzie inaczej, jedni rozkazują, drudzy muszą słuchać. Przytem im wszelkiej pomyślności życzą; niech się usiłują, by jak najwięcej względów i przyjaźni u panów zyskali, a będzie im dobrze.

Po odejściu owych zostali na miejscu tylko politycy, doktorowie prawa, prokuratorowie, sędziowie i inni. Ci się żalili, że prawa pisane nie są dokładne, że według nich nie wszystkie spory między ludźmi dadzą się rozsądzić. Z tego powodu nie można też między ludźmi porządku utrzymać. A gdy kto nieco ze swego przyda, to mu za złe mają i zarzucają, że się naprzód wysuwa. Takim sposobem rośnie dla nich niechęć. Tak tedy żądają albo rady, co tu czynić wypada, albo obrony od ludzkich zarzutów. Żądali następnie, aby wszystkie prawa były zapisane i według nich aby postępowano. Politycy tę zasadę przyjęli i ślubowali, że według niej zawsze postępować będą.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY.

Salomon marność i szalbierstwo świata przed oczami ludzi publicznie wyjawia.

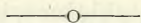
W tej chwili Salomon, który dotąd cichuteńki siedział, już nie mógł dłużej siebie powstrzymać, lecz głosem wielkim zaczął przemawiać, wołając: „Marność nad marnościami, i wszystko marność. Co jest

krzywego, nie może być wyprostowaniem, a niedostatki nie mogą być policzone“. Powstawszy tedy, a z nim wszystko otoczenie jego, wprost do tronu królowej z głosem jak grzmot burzy się przybliżają, czemu wszystka służba, po obu stronach tronu stojąca przeszkodzić nie mogła, ponieważ blaskiem chwały Salomona przerażeni byli. Ten wyciągnąwszy rękę swoją zerwał z oblicza królowej zasłonę, która się przedtem wielką kosztownością być wydawała, a jak się teraz okazało, była pajęczyną. Królowa, przebóg, jak wyglądała! Twarz miała bladą, lica opuchłe. Miejscami były nieco czerwone, ale dla tego, że naróżowane! Było to poznać po okruszynach, które odpadały. Ręce, jak widać, miała przyszczami całkiem osypane, ciało jej wszystko było naderwstrętne, a oddech śmierdzący. Widokiem tym wszyscy byliśmy zrażeni, jakby nas kto zatrul.

Salomon zwrócił się też i do radnych tej domniemanej królowej świata, zerwał maski z twarzy i tak się odezwał: „Widzę, że na miejscu sprawiedliwości panuje nieprawość, na miejscu świętości straszne splugawienie. Czujność wasza jest podejrzywaniem, prawda wasza tylko pozorem, gorliwość wasza wściekłością, waleczność wasza jest zuchwałością, miłość wasza lubieżnością, pracowitość wasza niewola, spryt wasz domniemaniem, a pobożność wasza obłudą. Wy to na miejscu Pana Boga światem rządzić zamierzacie? Każdą rzecz dobrą albo też i złą Bóg na sąd przywiedzie. A ja zaś pójdę i światu ogłoszę, aby się zwodzić i omamić nie dał“. To rzekłszy z gniewem odwrócił się Salomon i wyszedł, a z nim razem cały orszak jego. Na ulicy będąc zaczął wołać, mówiąc: „Marność nad marnościami

i wszystko marność“! Ze wszystkich stron świata zbiegli się narodowie, ludzie i języki, królowie i królowe od kończyn ziemi, a on wymową poruszał serca i nauczał je. Słowa jego były jak bodźce i gwoździe; bez wpływu, wrażenia nie pozostały.

Ja sam z nim nie szedłem, lecz z swymi wodzami przerażonymi na placu zostałem. Tak miałem sposobność oglądać, co się dalej dzieć będzie. Gdy się królowa z przerażenia swego uspokoiła, zwołała do siebie pomocnice swoje na ścisłą naradę, co zacząć wypada. Gorliwość, Prawdziwość i Waleczność podnosiły zdanie, że całą moc zbrojną trzeba zaraz wysłać i Salomona wziąć do niewoli. Ostrożność jednak inaczej myślała; ona radziła zaniechać przemocy. On ma za sobą potęgę świata, jak o tem poczty zewsząd donoszą. Radziła tedy wysłać Uprzejmość razem z Chytrością; a te dwie niechaj przybiorą do siebie Rozkosz, bawiącą na zamku Fortuny. Te trzy niech idą do Salomona, gdziekolwiek jest, niechaj się zręcznie do niego przysuną i sławę i piękność i powab królestwa jego zręcznie zachwalając. Tą drogą może da się ułować, innej bowiem prostej na pewne niema. Rada Ostrożności się podobała i te trzy radne do niego wysłano.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Jak Salomona oszukały i zwiódłły.

Widząc to prosiłem przywódców swoich, że także chciałbym temu się przypatrzeć. Wszędybył

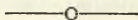
odrazu na to przyzwolił i tłumacz także. Przyszedłszy widzimy Salomona z zastępami jego w ulicy uczonych; miał rozprawę o drzewach i naturze ich, poczynawszy od cedrów na Libanie aż do mchu, który na murze wyrasta. Wszysecy słuchali i z uniesieniem wywody jego pochłaniali. Mówił o bydłach i o ptactwie, o płazach na ziemi i o rybach w wodzie, o wielkości świata, naturze żywiołów, o gwiazdach niebieskich, o przemysłach ludzkich i t. p. Ze wszystkich narodów garnęły się tłumy, aby mądrości jego słuchały. Uwielbienie i chwała jego wzniosła się niezmiernie i począł sam w sobie mieć upodobanie, osobliwie gdy Chytrość i Uprzejmość zręcznie się przysunawszy przed obliczem wszystkich ludzi chwałę imienia jego z zapalem głośiły.

Gdy się tak podniósł, szedł, by inne strony świata oglądał. Przyszedłszy pomiędzy rzemieślników podziwiał ich prace; w rozlicznych zręcznościach i robotach ręcznych miał upodobanie. Co więcej, sam się rozmaitymi wynalazkami sprawie rzemieślników wielce przysłużył. Oprócz tego zakładał ogrody, szczeplnice i stawy, budował domy miasta i grody, a wszystko czynił bardzo umiejętnie, szerząc wygodę i szczęśliwe życie pomiędzy ludźmi.

Gdy na ulicę małżeńską wchodził, przywiodła mu Rozkosz w chytrości serca najurodzawsze dziewice naprzeciw, w najpiękniejszych szatach przy dźwięku muzyki. Te miały zadanie powitać króla słowy pokornymi, najpochlebniejszymi, sławiąc go jak światłość ludzkiego rodu, jako koronę Izraelskiej ziemi, jako ozdobę świata najwspanialszą. Ja-

ko stan uczonych i stan rzemieślników niemało chwały przez niego uzyskał, tak też stan małżeński ma tę nadzieję, że obecność jego dużo mu chwały i uroku doda. Salomon za to szczerze podziękował, tudzież oświadczył, że sobie umienił uczyć stan małżeński, przystając do niego. Z całego zastępu młodych wybrał sobie, która mu się najlepiej podobała, córkę Faraona, i z nią się połączył. Tę mając u siebie, taką się szaloną miłością upoił, iż więcej zabawek niż mądrości szukał, nad czem jego własni ludzie ubolewali i wzdychać zaczęli.

Przeszedłszy tedy onę ulicę, dalej się z hufy swymi wybierał. A gdy wszedł w ulicę rozlicznych nabożeństw, dokąd go poślubiona małżonka wabiła, dał się wprowadzić między zwierzęta i rozliczne płazy, smoki i węże jadowite, i z tymi smutną zabawę rozpoczął.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI.

Towarzystwo Salomona poszło w rozsypkę.

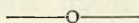
Widząc człowieka tak omamionego, którzy z ludzi jego najprzedniejsi byli, Mojżesz, Elias, Izajasz, Jeremiasz, ogromnie się nad tem rozgorlili, na niebo i ziemię się zaklinając, że w tej nieprawości udziału mieć nie chcą, tudzież wzywając ludzi orszaku, aby się marności i błazeństwa tego strzeegli. Że jednak niektórzy śladem Salomona postępowali, ogromnym gniewem zapaliły się serca Iza-

jasza, Barucha, Szczepana, Pawła i innych. Mojżesz rozkazał, aby ludziom jego miecze przypasano, Eliasz wołał, by ogień spadł z nieba, Ezechiasz wszystkie te obrzydliwości bić i trzaskać zaczął.

Widząc to Uprzejmość, Chytrość i Rozkosz, które wysłano zwieść Salomona, przybrały do siebie filozofy i Mamonę i z tymi razem namawiały lud, by się pamiętali i łagodniej sobie poczynali; bo gdy najmądrszy człowiek na świecie rozum swój pod rządy świata tego poddał, jak to wszyscy widzą, dlaczegóż oni mają się namyślać i rozmaite mądrości wywodzić? Lecz z nich nikt nie słuchał; owszem im więcej przykład Salomona ludzi uwodził, tem się więcej oni gorlili, gonili, szarpali, krzyczeli, z czego powstało wielkie zaburzenie.

Gdy się Królowa o tem dowiedziała, rozesłała patenty i publiczność wszędzie do broni wezwała. Obronę swego, zwanego Mocą, ogłosiła jenerałem i poruciła, by burzycieli przemocą pojmano i przed wszystkim ludem publicznie skarano. Zatrąbiono w trąby, zgarnęło się mnóstwo narodu, wszyscy gotowi do boju; byli tam nie tylko żołnierze z powołania, lecz także zwierzchność, urzędnicy, sędziowie, rzemieślnicy, filozofi, lekarze, prawnicy, ba nawet księża. Były nawet żony, ubrane w szaty różnego kroju i mając w rękę najróżniejszą zbroję. Mówiono bowiem, że przeciw takim burzycielom świata wszyscy do boju stanąć powinni krom starców i dzieci, aby pomagali. Ja widząc zastępy wojska się walące pytam swych przywódców, co to z tego będzie? Tłumacz mi na to: „Teraz zobaczysz, co takich czeka, którzy mądrowaniem roty i burze w świecie wszczynają!“

Wtem się rzucają na jednego, drugiego, trzeciego, dziesiątego; biją, siekają, porażają, nogami kopią, pojmują, wiażą, do więzienia wiodą, na jakim kto stopniu wściekłości był; a we mnie serce ledwie że nie pękło. Na całym ciele drżałem jak osika, słowa powiedzieć się nie odważyłem, by na mnie nie wpadli. Niektórzy z pojmanych i poranionych podnosili ręce, uczynków swoich się wyrzekając, inni czem gorzej z nimi zachodzono, tem mocniej na swem stanowisku stali. Tak tedy niektórych przed oczyma memi w ogień rzucano, drugich w głębiach wody topiono, innych wieszano, innych na krzyżu przybijano, jednych kleszczami targano, innych rzezano, bodzono, siekano, innych na różnach pieczono. Ja tu wszystkiego opisać nie mogę, jaką okrutną śmiercią ich karano, z czego zastępy świeckie się cieszyły i radowały.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI.

Pielgrzym chce uciec ze świata.

Ja już nie mogąc na to ani patrzeć ani boleści sereca dłużej przenieść, uciekłem z miejsca tam gdzieś na pustynię, a raczej byłbym, gdyby to można, zupełnie gdzieś precz ze świata poleciał. Lecz przywódcy moi, puściwszy się za mną, dopędzili mnie i usilnie się dopytywali, dokąd to chcę iść? Ja chcąc się ich pozbyć, całkiem milczałem i nie rzekłem. Lecz gdy usilnie na mnie nalegali, nie chcąc mię wypuścić, rzekłem: „Jużci

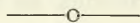
ja widzę, że na świecie pewnie nie będzie lepiej! Już teraz wszelką nadzieję straciłem. Biada mnie! ach biada!“ Oni na to rzekli: „Ani teraz jeszcze się nie namyślisz, widząc te przykłady? Nie chcesz zrozumieć, dlaczego przychodzą?“ Ja na to odrzekłem: „Tysiąckroć wolę już śmiercią umrzeć, niż tu przebywać, gdzie takie rzeczy się dzieją. Nie mogę już dłużej patrzeć na nieprawość, kłamstwo, zwodzenie, okrutność i wszelaką leż. Pragnę więcej śmierci niżeli życia. Idę więc spojrzeć na los umarłych, których stąd wynoszą“.

Wszędybył się zgodził, mówiąc, że i temu jest pożytecznie się bliżej przypatrzeć i rzecz wyrozumieć. Drugi zaś nie radził, owszem zabraniał, a to usilnie. Ja nań nie zważając, oderwałem się i poszedłem przecie, a on na miejscu pozostawszy opuścił mię.

Patrząc wokoło, zważam na sposób, jak ludzie umierają; a umierających nie brakowało. Żałosny to widok, gdy człowiek ze zgrozą, ze strachem, narzekaniem, drżeniem, duszę swą wypuszcza, nie wiedząc, co się z nim stanie i gdzie się ocknie. Aczkolwiek przy tem było mi smarkotno, jednak chcąc wszystkiemu lepiej dorożumieć, kroczyłem naprzód między rzędami trumien i mar, aż do końca świata i jego światłości. Inni tam doszedłszy zamknęli oczy i nie widząc umarłych swoich ślepo wyrzucali. Ja z oczu zsunąłem szkła omamienia i oczy przetarłszy, jak najdalej mogłem, przed siebie patrzyłem. Straszna przedemną panowała ciemność, której rozumem ni dna ni końca doścignąć nie mogłem. W niej były czerw, żaby i gady, zgnilizna, smród i wyziewy,

siarki i smoły, ciało i duszę zarażające — słowem okropność nad wszelkie pojęcie.

Wszystkie wnętrzości mi się przewracały, a całe ciało drgało jak we wrzodzie. Wskutek przerażenia przyszła na mnie mdłość; upadłszy na ziemię z wielką żalością wołałem, mówiąc: „Ach, biedni, nieszczęśni, mizerni ludzie, taka to jest wasza ostateczna sława! Taki to koniec bohater-skich czynów! Taki cel waszych umiejętności i roz-licznego rozumowania, z czego się pysznicie! Taki to ten pokój, którego po tylu utrudzeniach, pra-cach się spodziewacie! Taka nieśmiertelność, któ-rą się cieszyacie i sobie zawsze obiecujecie! Obym się nigdy nie był narodził! nigdy przez bramę życia nie był wstąpił, jeśli po wszelkich marno-ściach ziemskich tylko tym ciemnościom i okropno-ściom mam być oddany i stać się ich działem. Ach, Boże, Boże, Boże, Boże, jeśli jesteś Bogiem, zmi-łuj się nademną, biednem swem stworzeniem“.



ROZDZIAŁ TRZYDZIELSTY CZWARTY.

Pielgrzym do domu trafił.

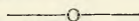
To powiedziawszy cały jeszcze drżałem, al-bowiem okropnie się przeraziłem. Naraz słyszę gos wołający za mną: „Nawróć się!“ Podniósłszy głowę, patrzę się, kto woła i dokąd nawrócić się każe, ale nikogo nigdzie nie widziałem, nawet przewo-dnika swego Wszechwiedza; albowiem i ten już mię opuścił.

Wtem znowu głos woła: „Nawróć się!“ Ja nie wiedziałem, dokąd się nawrócić, ni jak się z tej chmury wydostać, na całym zacząłem drześć ciele, aż głos po raz trzeci ozwał się, wołając: „Nawróć się, skąd wyszedłeś, do domu serca swego i zamknij za sobą drzwi jego!“

Jak rozumiałem, tak według rady danej postąpiłem, a nader szczęśliwy był to krok dla mnie, że rady Pana Boga usłuchałem. Lecz i to było darem od Boga. Skupiłem myśli jak najlepiej mogłem, zamknąłem oczy, uszy i usta i wszelką styczność ze światem zewnętrznym przerwałem. Tak więc do wnętrza serca wstąpiłem. A było tam ciemno. Lecz gdy się trochę przyzwyczaiłem, spostrzegłem maleńki promyczek światła, który przez szczelinę padał do wnętrza, i u góry tego pokoiczka swego tuż pod sklepieniem widzę jakieś duże, okrągłe okno, zrobione ze szkła, ale tak brudne i czemś zamazane, że żadnego światła nie przepuszczało.

Przy tem świetle skromnem się rozglądając ujrzałem na ścianach jakieś obrazy, które, jak widzieć, musiały być piękne, lecz teraz kolory były wybladłe, a niektóre członki były odcięte lub pobrywane. Przystąpiwszy bliżej ujrzałem napisy: Ostrożność, Pokora, Sprawiedliwość, Wstrzemięźliwość, Czystość i t. p. Na środku pokoju spostrzegłem drabiny i skrzypce jakieś połamane i porozrzućane, tudzież powrozy potargane i wielkie skrzydła z wyrwanem pierzem, do tego kółka od zegara z połamanymi walcami i ząbkami. A wszystko to leżało w największym nieładzie na podłodze przedemną. Nie wiedziałem, co te rzeczy zna-

czą, jakim sposobem i jaką siłą mogły być w ruchu. Rozmyślałem o tem, ale do końca rzeczy nie dociekle, aż we mnie nowa zabłysła nadzieja, że ta osoba, która mię głosem swym tutaj zawiódła, jeszcze się odezwie i sprawę objaśni. Co tu widziałem, zaczęło bowiem mi się podobać. Już ten pokoik wyglądał inaczej, jak wszystkie miejsca, gdzie dotąd byłem. Tu nie było smrodu ani trzasku ani niepokoju, ani pukania i nasilania, czego to w świecie tyle znalazłem; tu była cisza i panował spokój.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY.

Chrystus gościem jego.

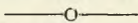
O tem ja wszystkiem u siebie rozmyślałem i wyczekuję, co dalej będzie. A oto, z góry błysło światło jasne. Podniosłem oczy i widzę okno górne pełne blasku. A w tej światłości spuściła się do mnie jakaś postać jasna, nam ludziom podobna, lecz takiej światłości, jak tylko sam Bóg. Choć oblicze jego lśniło się nad miarę, jednak ludzkim oczom nie było przykre, ani z niego trwoga nie wychodziła, lecz łagodność dziwna, jakiej jeszcze nigdzie w świecie nie spostrzegłem. Postać pełna wdzięku i radości serca temi najprzód rozkosznemi słowy i nader miłemi do mnie przemówiła:

„Witaj mi, witaj! Synu mój kochany i bracie miły!“ To mówiąc wziął mię w objęcia swoje i z całego serca mię ucałował. Jakaś woń cudowna z niego pochodząca ogarnęła zmysły moje i radość

niewypowiedziana wstąpiła do serca. Łzy w oczach stanęły i nie wiedziałem, co na powitanie, tak nader serdeczne, mam odpowiedzieć. Pokornemi nań spojrzalem oczyma, głęboko wzdychając. On widząc mą radość i uniesienie, tak się odezwał: „Gdzież byłeś, mój synu? Gdzie byłeś tak długo? Kędy chodziłeś? Czegoś w świecie szukał? Czy pocieszenia? Gdzież go trzeba szukać, jak tylko w Bogu? A gdzież Boga szukać, jak w jego kościele? A gdzież kościół żywy, który Bóg sobie sam wybudował, jeśli nie w twem sercu? Wiedziałem cię, synu, gdyś błądził wokoło, ale już dłużej nie chciałem cię widzieć w obłędzie twoim, przeto cię do siebie zaprowadziłem, do serca twego ciebie prowadząc. Tu sobie obrałem pałac na mieszkanie. Jeżeli tu ze mną przebywać zechcesz, znajdziesz, czegoś w świecie nadaremno szukał, pokój, pocieszenie, chwałę i dostatek. Toć ja słubuję, synu kochany, nie będziesz u mnie zawiedziony tutaj, jak to tam byłeś“.

Ja słysząc, że to jest mój Zbawiciel, Pan Jezus Chrystus, o którym już pierwej nieco powierchownie w świecie słyszałem, z pełną dowiernością i szczerą serca swego pociechą, złożone swe ręce do niego wyciągłem wołając: „Oto jestem, Panie mój Jezu Chryste. Przyjmij mię do siebie. Twoim ja być pragnę i pozostać wiecznie. Mów, Panie! bo słyszy sługa Twój! Powiedz, czego chcesz, i daj, bym Cię kochał; włóż coć się podoba, i daj, żebym niósł. Zwróć do czego chcesz, i daj bym to konał; porucz, co zechcesz, a co poruczysz, daj, Panie, bym ja sam już nie był niczem, ale Ty wszystkim!“

I rzekłem, mówiąc: „Panie, Boże mój! jużci rozumiem, że Ty jesteś wszystkim, a kto ma Ciebie, łatwo wszystkiego ożaleć może, bo w Tobie ma więcej, niż świat cały daje i niż serce ludzkie zapragnąć może. Oto ja błdziłem, już temu rozumiem; albowiem długo w świecie się tulałem, w rzeczach stworzonych nadzieję miałem i w nich szukałem odpocznienia duszy. Lecz od tej godziny nie pragnę więcej innego kochania, krom Ciebie, Panie. A tak się Tobie zupełnie oddaję, tylko Ty mię wzmocnij, abym do rzeczy stworzonych nie wrócił, i głupstwa jakiego, czego świat jest pełny, znów się nie dopuścił. Niech łaska Twoja nademną czuwa, na nią ja się zdaję.“

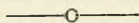


ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY.

Pielgrzym przemieniony.

Gdy tak mówiłem, światłość wokoło jeszcze więcej się wzmogła, a te obrazy, które widziałem brudne, obłamane, naraz były całe i bardzo piękne. Przed oczami memi się poruszały. Równie one koła porozrywane w jedno się spoiły, a z nich powstało dzieło jakieś zacne, niby to zegar, który bieg świata i dziwne sprawy wielkiego Boga oku przedstawiał. Drabiny także naraz były całe; stały przystawione do owego okna, przez które światło niebieskie wchodziło. Po nich można było wystąpić wgórę i wkoło się patrzeć. A skrzydła, którym pierze wyskubano, dostały nowego,

wielkiego pierza. Ten, co ze mną mówił, Pan mój i Zbawiciel, położył takowe na moich plecach i tam je przypiął, mówiąc: „Synu mój, ja na dwóch miejscach przebywam, na niebie w chwale, i na ziemi w sercu człowieka skruszonym. Chcę, byś i ty odtąd miał dwojakie miejsce do przebywania, — jedno tu w domu, gdzie i ja z Tobą bywać obiecałem, a drugie u mnie, w niebieskiej chwale. Żebyś był w stanie podnieść się do mnie, dając ci te skrzydła. One są pragnienie rzeczy niebieskich i modlitwy. Tak będziesz w stanie, ilekroć zechcesz, przylecieć do mnie, a wtedy ty ze mną i Ja z Tobą radość wielką mieć będziemy“.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.

Pielgrzym do niewidzialnego kościoła idzie.

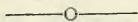
„Dla utwierdzenia w miłości mojej i dla skutecznego wyrozumienia pociechy mojej, którą cię teraz udarowałem, wyprawiam ciebie między swoje, którzy świat porzuciwszy, mojej się służbie sercem poświęcili. Idź tedy i popatrz, jak oni mnie służą“. „Gdzież przebywają mój miły Panie?“ — odpowiedziałem — „Gdzież ich szukać będę?“ — On odpowiedział: „W świecie wśród innych są rozproszeni, ale ich świat nie zna. Na ciebie zaś wkładam nie uzdę i szklę, ale jarzmo moje, abyś ich poznał i w społeczności ich był bezpiecznym, aby cię świat ten szalbierstwem swym do złego nie uwiódł. Odtąd mnie tylko naśladować będziesz. Dam ci też oto,

te okulary, bo przez nie lepiej marność świata z jednej strony poznasz, a z drugiej wolność i pociechę służebników moich obaczysz i pojmiesz. Okładką tych moich okularów jest Słowo Boże, a szkiełkiem jasnem jest mój Duch Święty. Idź tedy spokojnie! Idź do tego miasta, któreś wprzód pominął, a tam ujrzysz rzeczy, których bez pomocy tych oto szkiełek nie mógłbyś zobaczyć“.

Ja sobie wspominam, gdzie to nie byłem; idę wśród zgiełku ruchliwego świata, alem go ani wiele nie dostrzegł. Wszedłem do kościoła, który się chrześcijaństwem zowie, oglądam strony jego wewnętrzniejsze, gdzie był kur i zasłona, i nic nie mówiąc, przechodzę cicho około sekt, które się głośno z sobą kłócili, i szukam miejsca najspokojniejszego, ażem znalazł kątek cichy i spokojny, który **prawdziwem chrześcijaństwem** zowią. Zasłona jego była dwójaka: zewnętrzna o kolorach ciemnych i „pogardą świata“ się nazywała; wewnętrzna była koloru jasnego, a „miłość Chrystusa“ była jej nazwa. Temi zasłonami jest część świątyni dobrze odłączona, ale do wnętrza oddzielonej części widać nie było. Kto tylko wkroczył poza tę zasłonę, od razu wyglądał, nie jak inni ludzie, lecz oblicze jego jaśniało błogością, radością, pokojem.

Spostrzegłszy to u drzwi, głębiej do wnętrza wszedłem za zasłonę i na sprawy ludzi tam przebywających patrzałem, najprzód tylko w ogóle, potem w szczególności. Co tam widziałem, serce me pociechą wielką napawało, lecz wszystko inaczej było, jak tu na świecie. W świecie jest ślepotą i brak światłości; tu wszystko jasne, pełne porządku, bo rząd jest szlachetny. W świecie uciski, tu panuje

pokój; w świecie kłopoty i troski rozliczne, tu sama radość. W świecie niedostatki, a tu obfitość; w świecie niewola i robota ciężka, tu panuje wolność; w świecie same trudy, tu wszystko łatwe; w świecie żalosne zewsząd przygody, tu wielka bezpieczność.



ROZDZIAŁ TRZYDZIESTYÓSMY.

Pielgrzym na stany chrześcijańskie patrzy.

Widząc między nimi — równie jak w świecie — różne powołania, ciekawy byłem tego się dowiedzieć, jak oni stopni swych się trzymają. Miło mi było znaleźć porządek uszlachetniony, co tu tylko w krótko poruszyć myślę.

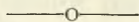
Komu z nich dano na wyższym stopniu społeczeństwa być i obowiązki zwierzchności pełnić, ten był dla poddanych, jak są rodzice dla własnych dzieci. Miłością, opieką zewsząd ich otaczał, aż pa-trzeć miło. Widziałem ludzi, co ręce składali, dzię-kując Bogu za taką zwierzchność. Kto zaś należał pod moc innego, tak się zachowywał, by nie tylko w słowie, ale też w uczynku był jako poddany i Panu Bogu służbą swoją służył.

Chodząc wpośród nich, spotkałem nie mało ludzi uczonych, którzy się wszyscy — przeciwnie jak w świecie — wielką pokorą serca odznaczali, będąc uprzejmości i skromności wzorem. Z jednym mi się rozmawiać dostało, który nauką innych prze-wyższał. Jakże ten człowiek był szczerze pokornym,

a dla wszystkich innych uprzejmym, usługowym. Ludzie mówili, że niema człowieka uczeńszego w świecie, a on jak prosty człowiek się zachował i nad brakiem nauk szczerze się żalił. Znajomość języków nie jest dużo warta, jeżeli się do niej mądrość nie dołączy. Znajomość języków jest na to potrzebna, byśmy się z ludźmi innych narodów porozumieć mogli. Nie ten jest uczony, który inne obce języki umie, ale ten, który rzeczy pożyteczne tłumaczyć jest w stanie. Pożyteczne zaś są wszystkie sprawy Boże. Nauki świata też się człowiekowi bardzo przydadzą, lecz prawdziwem źródłem poznania Boga jest Pismo święte, a nauczycielem — to jest Duch Święty. Celem nauki jest Chrystus, a ten ukrzyżowany.

Księży i kaznodziei był spory poczet; do służby kościoła ich potrzebowano; wszyscy byli skromnie ubrani, zachowaniem byli serdecznie uprzejmi, tak wobec siebie, jak innych ludzi. Czasu spędzali więcej z Panem Bogiem, niż z sobą i ludźmi; zajęci byli modlitwą, czytaniem i rozmyślaniem. Gdy im nieco czasu wolnego zostało, spędzali go nauczaniem innych, czy to w zgromadzeniach, czy prywatnie w domach. Słuchacze mówili — a sam się o tem mogłem przekonać — że kazaniem zawsze serce i sumienie ludzi poruszali, a to dlatego, że serce ich mocą Ducha Bożego poruszone było. U słuchaczów widziałem łzy i uniesienie w miarę tego, jak o miłości Pana Boga lub o niewdzięczności człowieka mówili. Tak to prawdziwie, gorącym sercem i żywo czynią. Za hańbę by sobie to poczytali, gdyby nie pełnili, co nauczają. Sami na sobie przykład nauki swojej dawają, a więc, choć nie mówią,

zawsze nauczają. W szczególności do jednego z nich przystąpiłem, chcąc kilku słowy z nim porozmawiać. Był to mąż poważny, o siwych włosach, a z oblicza jego jakaś łagodna jaśniała światłość. Gdy ze mną mówił, były słowa jego pełne powagi i uprzejmości. Ze wszystkiego było widoczną, to posłaniec Boży; żadnej światowości u niego nie było. Gdym go chciał uczcić obyczajem świata, nie zgodził się na to, prostemi fraszkami to nazywając. Jemu cześć dosyć, że jest sługą Bożym, i gdy go ludzie — jeżeli zechcą — ojcem swym zowią. Gdy na pożegnanie mi błogosławił, tak mi jakoś ciepło i oraz wesoło na sercu było, że zrozumiałem, iż teologia, gdy jest prawdziwą, nie do zdań zewnętrznych się ogranicza, lecz od serca idzie. Jeżeli prawdę wyznam, to ci najwięcej mi się podobali, którzy byli duchem pałający, niewielkiego wzrostu, niebieskie rzeczy na oku mający, ale o ziemskie nie wiele dbali, czujący nad stadem, lecz o siebie samych nie dbali; wstrzeмиężliwi w winie, upojeni Duchem, niewiele mówiący, dużo czyniący, na przodzie w pracy, ostatni w chlubie, pracami, słowami, umysłem serca, Jezusa winnicę uprawiający.



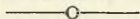
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTYDZIEWIĄTY.

Śmierć chrześcijan wiernych.

Gdy się tak dosyć pomiędzy chrześcijany na-przechadzałem i uczynkom ich się przypatrzyłem, spostrzegam wkońcu, że i między nimi Śmierć się

przechadzała, lecz nie wyglądała, jak to jest w świecie, naga, niemila i brzydkiej postawy; tu była ubrana w piękne prześcieradła Jezusa Chrystusa, które Pan wzbudzony w grobie pozostawił. Tak przystępowała to do jednego, to do drugiego, nadmieniając przed nim, że czas odejścia ze świata nadchodzi. Jakaż była radość i jakie płasanie, gdy człowiek taką nowinę otrzymał! Każdy sobie życzył wybrać się czem prędzej. Ustąpiła boleść, znikwały strachy i przerażenia, a każdy zasypiał, spokojnie, cicho i łagodnie w Panu.

Anieli Boży wzięwszy duszę jego, nieśli ją w górę, w blasku i radości. A gdy za nimi przez szkła żywej wiary w górę patrzałem, ujrzałem chwałę niewypowiedzianą.



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY.

Pielgrzym chwałę Pana Boga ogląda.

Oto niebios. Na tronie chwały siedział Pan zastępów. Około niego wokoło jasność od kończyn niebios aż do ich kończyn. Pod nogami jego był jakby kryształ, szmaragd i szafir. Tron Jego jaspis, a naokoło tęcza przepiękna. Tysiące tysięcy, dzieśięćkroć tysiąckroć stotysięcy aniołów stało, śpiewając, jedni po drugich wołając: „Święty, święty, święty Pan zastępów i pełna jest wszystka ziemia chwały Jego!“

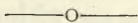
Upadło też dwudziestu i czterech starców przed obliczem siedzącego na stolicy i rzucali korony

swoje przed stolicą, mówiąc: „Godzien jesteś Panie! wziąć chwałę i cześć i moc; boś ty stworzył wszystkie rzeczy i za wolą Twoją trwają i stworzone są!”

Widziałem także przed tronem inny wielki zastęp, którego nikt policzyć nie zdołał, ze wszech narodów, pokoleń, ludzi i języków; liczba ich rosła, bo aniołowie Boży świętych umarłych Pańskich przynosili, a głos ich coraz większym się stawał, kiedy wołali, mówiąc: „Amen! Błogosławieństwo i chwała i mądrość i podziękowanie i cześć i moc i siła Bogu naszemu na wieki wieków. Amen.”

Tak tedy widziałem blask, jasność, chwałę i sławę, której język ludzki wysłowić nie zdoła i huk niewymówny także słyszałem, daleko dziwniejszy i radośniejszy, niż oczy nasze i uszy i serce doścignąć mogą.

Przerażony będąc sławą i chwałą rzeczy niebieskich, padłem na kolana przed tronem Staro-dawnego, wstydząc się swych grzechów, gdyż jestem człowiekiem splugawionych warg. Wołałem: „Panie! Panie! Boże miłosierny i litościwy, nierychły do gniewu, a obfity w miłosierdziu i prawdzie; zachowujący miłosierdzie nad tysiącami, gładzący nieprawość i przestępstwo i grzech! Panie! Panie! zmi-luj się nademną nędznym i grzesznym!”



ROZDZIAŁ CZTERDZIESTYPIERWSZY.

Pielgrzym za domownika Bożego przyjęty.

Gdy to wyrzekłem, ozwał się w pośród tronu Swego Zbawiciel mój, Pan Jezus Chrystus i roz-

kosznemi do mnie przemówił słowy: „Nie bój się, miły mój, albowiem Jam z tobą, twój Odkupiciel, twój Wybawiciel, twój Pocieszyciel. O nie lękaj się! Nieprawość twoja zdjęta jest z ciebie, a grzech twój jest zgładzon. Raduj się i płasaj, albowiem twe imię między onymi zapisane jest; a będzieszli służył mi wiernie, tedy się staniesz jako jeden z nich. Coś widział w około, w bojaźni Mojej tego przestrzegaj, a większe rzeczy nad te jeszcze ujrzysz czasu swojego. Tedy przestrzegaj, do czego Ja ciebie teraz powołałem, a jaką ci drogę do chwały wskazałem, tak ty po niej kroc. Na świecie, gdzie cię jeszcze pozostawiam, będziesz pielgrzymem i komornikiem, przychodniem i gościem, ale u Mnie oraz domownikiem Moim. Obywatela niebieskiego prawo tobie nadaję. Niech tu będzie obcowanie twoje, ale myśl twoja wzniesiona do Mnie, a do bliźnich twoich tu nakłoniona. Ziemskich rzeczy — póki tu jesteś — używaj spokojnie, ale w niebieskich kochanie miej. Bądź Mnie posłusznym, lecz wobec świata i ciała swego odporność zachowaj. Przestrzegaj mądrości, którą ci dałem i strzeż się sprośności. Miej głośnie serce, ale cichy język, na odczuwanie bied bliźnich bądź czuły, do ponoszenia krzywd przeciw sobie zahartowany; duszą służ Mnie tylko, ciałem komu możesz lub musisz. Co ci poruczam, czyn; co na cię wkładam, nieś. Dla świata niechętnym, dla Mnie zawsze skorym; w świecie bywaj ciałem, a we Mnie sercem. Będzieszli tak czynił, błogosławionym zaprawdę będziesz i dobrze ci się powodzić będzie. A tak idź, Mój miły; a w losie swym bywaj aż do końca swego; z radością używaj pocieszenia serca, do którego Ja cię przyprowadziłem“.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTYDRUGI.

Zakończenie.

Wtem widzenie z oczu mych znikło, a ja ukląkłszy na kolana swoje, w górę do Pana oczy podniosłem, a Miłośnikowi swemu, jak tylko umiałem, temi to słowy podziękowałem:

„Błogosławiony jesteś o Panie, Boże mój, godny wiecznej chwały i wywyższenia. Błogosławione imię sławy Twojej, chwalone niech będzie aż na wieki wieków. Niechaj Cię sławią aniołowie Twoi, a wszyscy Święci niech Twą chwałę głoszą. Albowiem wielkim jesteś w swej mocy, a mądrość Twoja jest niedoścignięta, a miłosierdzie Twoje wszystkie sprawy Twoje przewyższa. Wysławiać Cię będę, póki tu żyję, Panie mój i Boże! Imieniowi Twemu przynajświętszemu chwałę śpiewać będę, pokąd mnie stanie. Albowiem rozweseliłeś mię miłosierdziem swoim, a ustaś moje napełnił płasaniem. Z głębokości morza i wałów wzburzonych wyrwałeś mię, a na przestrzeństwie nogi moje postawiłeś. Daleko od Ciebie zbłądziłem, o Boże, słodczy duszy mej najkosztowniejsza, ale Ty zmiłowawszy się, do mnieś się przybliżył. Błądziłem po świecie; Tyś mię upamiętał. Byłem w obłędzie, nie wiedząc, gdzie iść; Tyś mię na prawą drogę zaprowadził. Zaszedłem od Ciebie, i siebie i Ciebie gdzieś zagubiłem; ale Ty mię do Ciebie i do mnie samego znowu przywróciłeś. Przeto błogosław duszo ma Panu i Bogu swemu, a wszystkie wnętrzości moje imieniowi Jego świętemi. Gotowe jest serce me, gotowe serce me Tobie tedy śpiewać, Ciebie wysławiać będę. Ty jesteś

wyższy, niż wszelka wysokość, Ty jesteś głębszy, niż wszelka głębokość, dziwny i sławny, miłosierdzia pełny. Biada duszom niemądrym, które Cię opuściwszy, pokoju swego gdzieindziej szukają, gdyż oprócz Ciebie niema go w niebie ani na ziemi ani w głębokościach; w Tobie jest tylko odpocznienie wieczne. Niebo i ziemia od Ciebie pochodzą, a dobre są, krasne, pożądania godne, albowiem Ty, Panie, je uczyniłeś. A jednak one nie są tak dobre, ani tak krasne ani pożądania godne, jak Ty sam, Panie, co je stworzyłeś. One nie mogą nasycić duszy, ani zaspokoić, która nie szuka pocieszenia swego. Ty, Panie, to czynisz swą zupełnością nad wszelką zupełność. Serce nasze niespokojne jest, aż w Tobie znajdzie uspokojenie. Ach, późno ja Ciebie umiłowalem, ty kraso wieczna, albowiem późno Ciebie poznałem. Poznałem dopiero, gdyś mi zaświtnęła jasności niebieska! Niech milczy i chwali Tobie nie daje, kto miłosierdzia Twego nie doświadczył; ale wy, wnętrzości moje, wyznawajcie Pana. Ach, któż mi to da, aby serce moje Tobą upojone było, Ty wonności wieczna; abym na wszystko inne zapomniał tylko nie na Cię, Panie, Boże mój. Kraso najpiękniejsza, nie kryjże się więcej przed sercem mojem. Umrę, o Panie! gdyby rzeczy ziemskie oblicze Twoje przedemną zaćmiły; umrę, abym z Tobą będąc połączony, zawsze na Ciebie patrzył, a nigdy więcej Ciebie nie utracił. Podtrzymuj mię, Panie, prowadź mię i nieś mię, abym nie upadł ani od Ciebie więcej nie zbłądził. Daj mi to, Panie, abym Cię miłował miłowaniem wiecznem, a oprócz Ciebie niech nie miłuję, jak tylko w Tobie i dla Ciebie, o miłości wieczna i nieskończona! Ale cóż wię-

cej (mam mówić Panie? Oto jestem, Twoim jestem, własnością Twą jestem! Twoim na wieki! Zrzekam się nieba i zrzekam ziemi, byłeś Ty, Panie zawsze moim był. Siebie mi tylko, Panie, nie odmawiaj, a dość mam na wieki, na wieki wieków dość w Tobie samym. Ciało i dusza pragnie do Ciebie, Boga żywego, mówiąc: kiedysz przyjdę i okażę się przed obliczem Twojem. Jeżeli chcesz, Panie i Boże mój, weźmij mię, oto jestem i stoję gotowy; weźmij kiedy chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz. Ja pójdę od razu, dokąd poruczysz, a czynić będę, cokolwiek rozkażesz. Duch Twój dobry niechaj mną rządzi, niech mię wiedzie wśród sideł świata po ziemi prawej, a miłosierdzie Twoje niech mię prowadzi na drogach moich i niech mię przez tęskne ciemności świata do wiecznej światłości Twej zaprowadzi.

Amen i Amen.

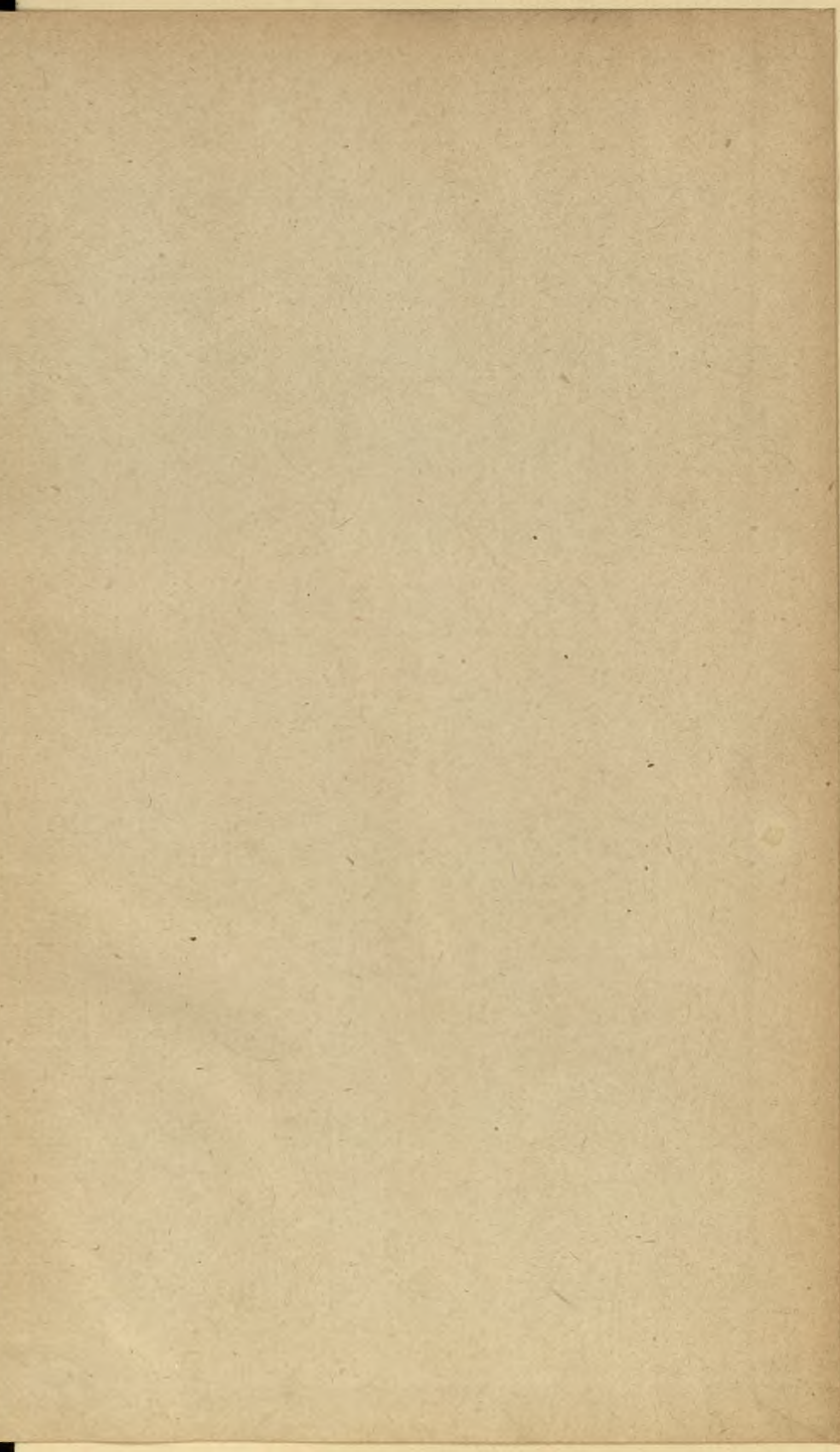
Chwała na wysokościach Bogu, na ziemi pokój,
a w ludziach dobre upodobanie.

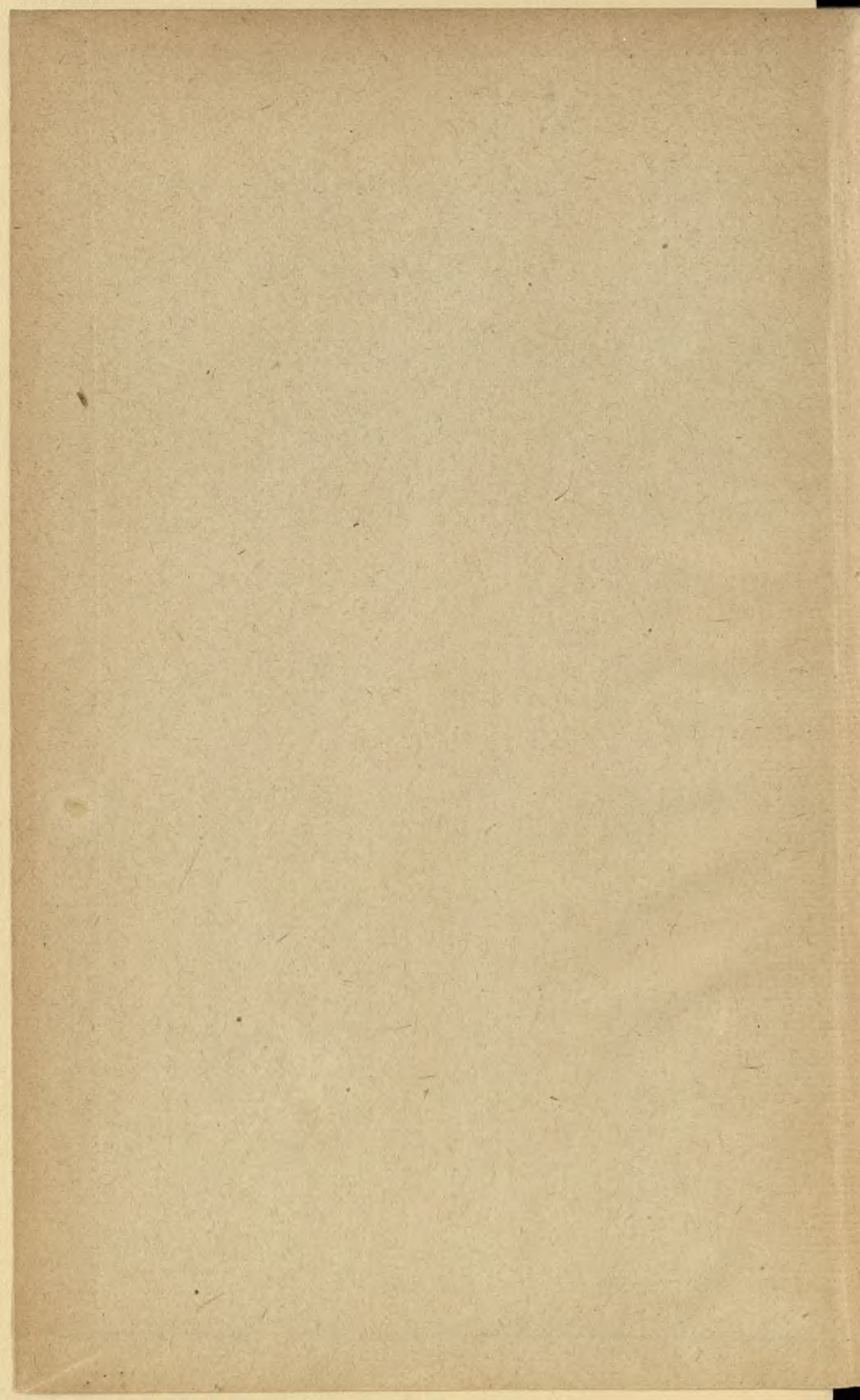


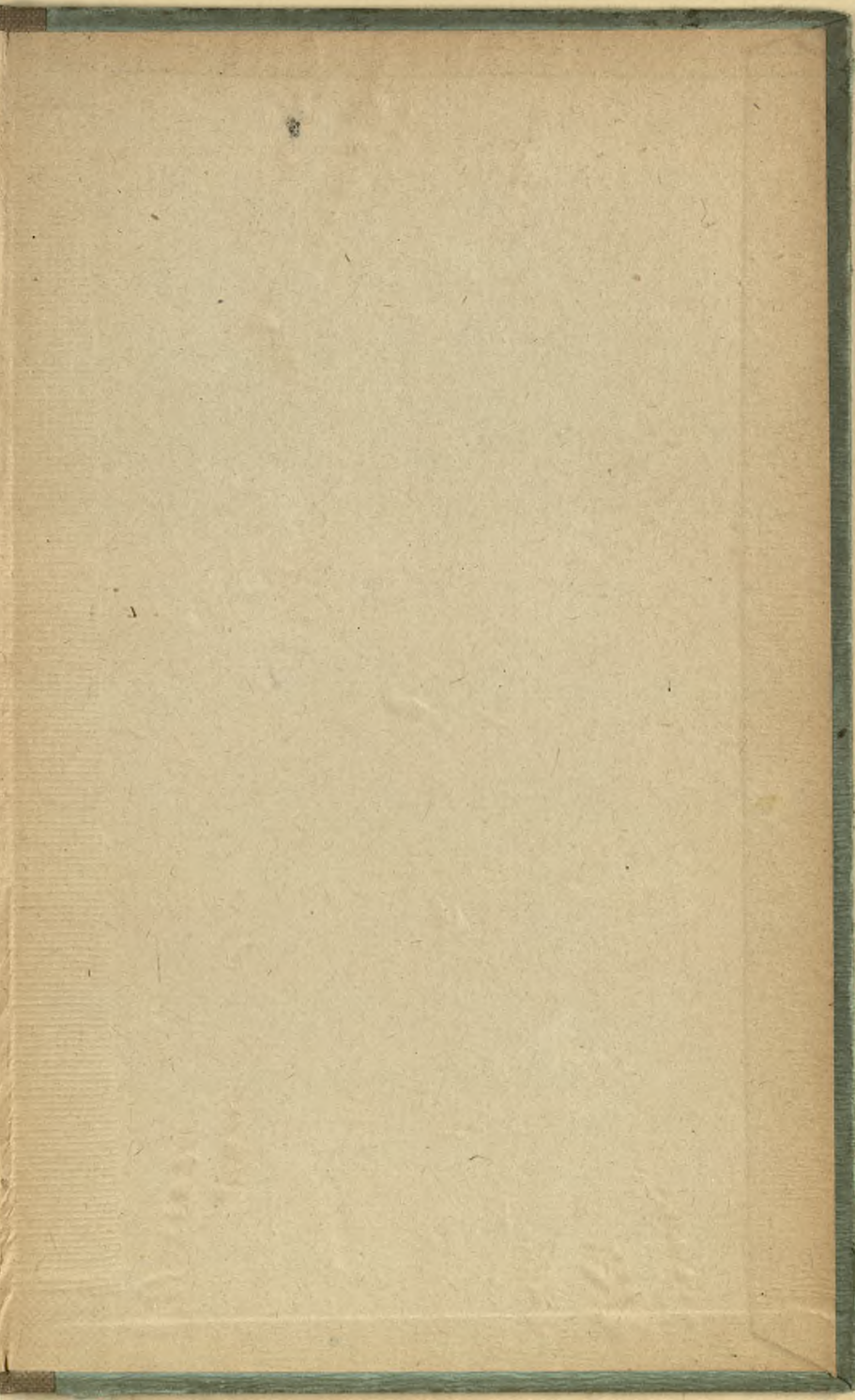
Spis książek wydanych przez Tow. ewangelickie w Gieszynie.

	K h
Postyla Dra M. Lutra, oprac.	4 50
Historya reformacyi przez Merle d'Aubigné, przełożył Dr. J. Pindór, 4 tomy po	2 —
Ks. Dr. L. Otto: „Rozmyślania i Kazania“ z zyciorysem ks. Otto, opracował ks. Fr. Michejda (wyczerpane).	
Śmierć Dra M. Lutra, spisał ks. K. Michejda	— 20
Konfesya augsburska, przełoż. na język polski ks. Dr. Jan Pindór	— 20
Postyla ks. Dra L. Otto, oprac.	4 50
R. Baxter: O wiecznem odpocznieniu zbawionych, opracował ks. Dr. Jan Pindór (wyczerpane.)	
Tomasz a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa, oprac ks. Dr. Jan Pindór (wydanie drugie)	1 —
Dzieje kościoła chrześcijańskiego. Wieki dawne i średnie. Opr. ks. Jerzy Badura .	2 —
T. W. Talmage: „Kazania o ziemi świętej“ przełożył ks. Dr. Jan Pindór,	
J. Trzanowski: „Modlitwy chrześcijańskie“, z zyciorysem autora, opracował ks. Fr. Michejda (wyczerpane).	
Jerzy Trzanowski: Modlitwy spowiednie i komunijne“	— 40
Święto reformacyi w szkole: Życie Lutra, Husa i apost. Pawła napisał Jerzy Michejda	po — 10

	K	h
Dr. Jan Buzek: „O higienie i jej znaczeniu	—	20
Ks. Dr. Otto: „Książeczka o małżeństwie“ (wyczerpane).		
Jerzy Kubisz: „Z niwy śląskiej“, nieopr.	2	50
Ks. Ds. De Witte Talmage: „Na drogach ży- cia“, 4 zeszyty po 50 h, oprac. Ks. Dr. Jan Pindór	2	—
A. Hławiczka: „Pieśni religijne“ z nutami: a) wydanie większe dla organistów i nauczy- cieli (nieopr.)	2	00
b) wydanie mniejsze dla uczniów	1	—
Ks. Fr. Michejda: „Karol Kotschy“	—	6
Jan Bunyan: „Pielgrzymka na górę Syon“	2	—
Ks. Karol Michejda, pastor krak.: „Dzieje kościół ewang. w Księstwie Ciesze.“	1	—
— oprawne	3	50
„Naprzód“, Czytania i rozmyślania biblij- ne, przez Franka Thomasa	2	50
„Ze słonecznej krainy“, przez Krystynę Royównę	—	50
Jerzy Michejda: „Gustaw Adolf i Stowarzy- szenie Gustawa Adolfa“	—	10
Misya ewang. luterska w Lipsku, napisał ks. J. Boruta	—	20
A. Kotula: „Psalmy“	1	—
Wal. Krasiński: „Historia reformacji w Polsce“: 3 tomy po 3 korony.		
Ks. Fr. Michejda: „O wyborze duszpa- sterzy“	—	10
R. Baxter: O nawróceniu duszy do Boga, opracował ks. Dr. Jan Pindór	1	—
G. Manitius: „Historia kościoła chrześcijań- skiego“ według Kurtza (wyczerpane).		







Książnica Cieszyńska

KD I 586